



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 2 października 1955 r.

Nr 40 (288) Rok VI

CICHY DON

Błyszcząc pośród pól rozległych,
On tam płynie!... Witaj Donie!
Od twych synów niepodległych
Wiozę tobie po poklonie.

Jak sławnego wszędzie brata,
Cichy Don już znają rzeki.
Od Araksu, Eufratu,
Pokłon wiozę ci daleki.

Omyliwszy zię pogonie,
Rodzinnego bliskie kraju,
Rżą z daleka dońskie konie,
Pijąc z nurtów Arpacaju.

Zgotuj-że mi, Donie bystry,
Dzielnym jeźdźcom, gdy tu zjadą,
Sok iskrzący i perlisty
Z jagód twego winogrodu.

1829

DO WIAZIEMSKIEGO

Więc morze, zbójca ten odwieczny,
Rozpala geniusz twój płomieniem?
Wysławiasz złotą lutni pieniem
Neptuna trójząb niebezpieczny.

Nie sław go dziś. Bo z Ziemią w zмовie
Neptun w podłościach wami grzęźnie.
Pośród żywiołów wszędzie człowiek
Tyranem, zdrajcą albo więźniem.

1826

Wiaziemski przysłał Puszkiniowi swój poemat będący pochwałą morza. W tym czasie rozszalała się pogłoska, że na okręcie, płynącym z Anglii wiozącego zaoconie na śmierć dekabrystę M. Turgieniewa, którego Anglia miała rzekomo wydać Rosji.

ALEKSANDER PUSZKIN



Rys. Marek Rudnicki

DO I. I. PUSZCZINA

Druhu mój! Druhu lat minionych!
Ja także los błogosławiłem,
Kiedy mój dom osamotniony,
W bezdrożach śnieżnych zagubiony,
Wysłażał twe dzwoneczki mile.

1826

Wiersz przesłany koledze szkolnemu, dekabryście, na Syberię.

Opatrzność błagam o zrzadzenie,
Ażby głos mój twoją duszę
Podobnym natchnął pocieszeniem,
Aby rozświetlił ci więzienie
Promiennym blaskiem szkolnych wzruszeń.

WIEZIEN

Wtrącony za kratę, w ciemnicę wilgotną,
Stąd orzeł ja młody wyzieram przez okno.
Za oknem mój smutny towarzysz spętany
Zer krwawy swój dziobie, trzepocząc skrzydłami.

Zer dziobie i rzuca i patrzy wciąż na mnie,
I zda się, że nami jednaka myśl władnie.
Przyzywa mnie wzrokiem i krzykiem z daleka,
I chciałby przemówić: „Czas, bracie, uciekać!”

My ptaki swobodne. Nam lecieć tam trzeba,
Gdzie góra nad chmurą bieleje wśród nieba,
Gdzie kraje zamorskie sinieją we mgłach,
Gdzie wichry jedynie hulają i... ja!”

1822

DO DAWYDOWA

Masz więc pieśniarzu, masz więc zuch! —
Mnie nie sądzono w burz podmuchu
Z tobą, wśród ognia, w grzmocie dźwięku,
Na dzikim koniu pędzić w cwał.
Potulny Pegaz mój z Parnasu,
Niemodny mundur z dawnych czasów —
Tak wierzchem przyszło mi się tłuc.
Ale i na tej służbie trudnej,
I tu, mój partyzancie cudny,
Jak ojciec byłeś mi i wódz.
Oto mój Pugacz! Zda się z twarzy,
Że wilkiem patrzy — kozak brat!
W szeregach przedniej twojej straży
Niezgorszy z niego byłby chwyt.

1836

Przełożył Marian Toporowski

Wiersz dedykacyjny przesłany z egzemplarzem „Historii buntu Pugaczowa”.

DANUTA ZABŁOCKA

Obywatele małego i wielkiego świata

Nie wyznają teorii „immanentnego, nieuniknionego zła” socjalizmu. To zastrzeżenie potrzebne jest dla tych wszystkich, którzy mówienie o naszych błędach chcieliby witać z pełną wyższością aprobatą, jako znaną im od dawna prawdę, że „nic nowego...”, jako jeszcze jeden przewidywany od lat argument za ich — w rzeczywistości — ignorancją i obojętnością. Chcę bowiem mówić o gorzkiej, ale na pewno odwracalnej sprawie „wyłączonego życia” niektórych ludzi w naszym społeczeństwie.

Jak to się dzieje, że w okresie pełnego napięcia, dramatycznego i porywającego udziału Polski w procesach niosących światu postęp i wyzwolenie zdarza się, że nasza młodzież robotnicza chuliganieje z nudy? Że w fabrykach, które pierwsze przeżyły ruch socjaldemokratyczny, daje się dziś we znaki element lumpenproletariacki? Jakże są przyczyny dysproporcji między patosem wielkich procesów historycznych, między wyjątkowymi wprost rozmiarami bohaterstwa, ofiarności, bezkompromisowości w walce i oddania sprawie ludzkiej — a praktycznym cynizmem, zblazowaniem, oportunistycznym tytułowym, którym właśnie owe procesy niosące postęp nie powinny być obojętne? Jak to się może zdarzać — inaczej mówiąc — że np. budowniczym najwyższych wartości, jakie ludzkości daje nasza rewolucja, nie budują odpowiednika tych wartości w sobie samych? Jak to się dzieje — inaczej mówiąc — że nie znikają w dostatecznym tempie dysproporcja między świadomością ludzi budujących socjalizm a jego ideologią?

FILOZOFIA, KTÓRĄ TWÓRCZO KONTYNUUJEMY: OKAZJONALIZM

Okazjonalizm, jak wiadomo, to dość niefrasobliwy pogląd, że z okazji zmian zachodzących w świecie materii Pan Bóg dokonuje rozwoju dusz ludzkich. Miałam możność zapoznać się z twórczą kontynuacją tego dorobku filozoficznego.

Przed kilkoma tygodniami na uczestniczyłam w spotkaniu młodzieży ZBM-2 z przedstawicielem Międzynarodowego Komitetu V Festiwalu, Syryjszkiem. A ponieważ zakład ten wskazywał mi w ZG ZMP jako instytucję wyróżniającą się w pracy przedfestiwalowej, skorzystałam ze sposobności, aby porozmawiać z zebranymi.

— Festiwal? — odpowiadali na moje pytanie. — No... czyn produkcyjny był... Zobowiązaliśmy podpisywali, że po 4, 5 metrów muru więcej oddamy... I już. Siedzą chłopaki teraz po godzinach i murują...

Zapytałam jeszcze o Apel Wiedeński.

— Też zobowiązania były — zapewniają.

O samej treści Apelu nie umiem mi jednak nic konkretnego powiedzieć. „My w tych sprawach jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu” — burknął wreszcie jeden.

— A coż byście chcieli? — tłumaczył mi następnego dnia jeden z aktywistów ZMP-owskich. — Trzeba się wyżyć wreszcie frazeologii. Chodzi o konkret, o namacalne rezultaty — mówił, niecierpliwie strzepując palcami. — Chodzi o to, od czego naprawdę trzeba zaczynać budowę socjalizmu. Był kształtujący świadomość. A zresztą my się trzymamy instrukcji!

Szły przez świat wielkie wydarzenia historyczne: rzucano pokojowe apele, zawierano pakt, zwoływano konferencje, obchodzono rocznice. W małym świecie zakładów produkcyjnych, na budowach, w szkołach wzywano do podnoszenia norm, stosowania nowych metod pracy, usprawnień, racjonalizatorów, a, podnoszenia wyników. „Z okazji...”

Tak więc wygląda twórcza kontynuacja dorobku filozoficznego Geulinxsa czy Malebranch’a. Jako zdeklarowani materialisci, kontynuatorzy owi wierzą przy tym, że idea, która z okazji aktywniejszego uczestnictwa w przetwarzaniu materii wypłni dusze młodzieży robotniczej, będzie najczystsza ideologia marksistowskiego socjalizmu.

Ale porzućmy analogie poruszające zmurszałe już kartki siedemnastowiecznych dzieł. Nasuwają się przecież bez porównania współczesniejsze: ta wiara niefrasobliwa, że sam aktywny udział w czynach produkcyjnych zrodzi socjalistyczną świadomość uczestników, to powoływanie do małych, konkretnych zadań oderwanych od perspektyw politycznych, to kryterium „namacalnych rezultatów” rozumianych wyłącznie w kategoriach ekonomicznych coś nam przypomina. Kiedyś, przeszło 50 lat temu, Lenin polecał „Raboczeje Żyć” czy „Raboczeje Dzieć” czy „Raboczeje Żyć” gargo z dzierzał, tłumacząc, że świadomość socjalistyczna to coś co jest wnoszone do walki klasowej proletariatu, a nie powstaje z niej żywiołowo — ale co robić kiedy „Co robić” nie w każdym

jeszcze obowiązkowym spisie lektury ZMP-owskich instruktorów można znaleźć. Oczywiście nie robie żadnych aluzji. W każdym przecięt okólniku znajdzie się zawsze chociaż jedno, choćby nie wiem jakie biedne, zdanie łączące mały czyn produkcyjny z wielką sprawą polityczną. Ale czy to aby nie zbyt formalistyczny sprawdzian?

ILE WART JEST CZŁOWIEK?

— Co wy chcecie z tym gadaniem — mówił mi znającą poufale głos przedstawiciel Rady Zakładowej jednego z największych podwarszawskich zakładów przemysłowych. — Jak się ludziom czarne na białym nie przeryczy wszystkiego na pierwiastek, to nie nie robią. Nie będziemy się przecież nawzajem bujać...

Wiosną r. 1951, pamiętam, zastąpiłam taką sytuację na terenie jednej z widzewskich tkalni: — Ja bym się z tym draństwem więcej nie obijał, tylko zagonił i koniec! — pieklił się przedstawiciel ZW ZMP. — Masówki im zorganizowaliśmy, „bez bujdy”, mówimy. „groz do groza wyliczyliśmy”, mówimy „za wszystko forsa leci”. A oni nie. Warty pokoju nie podejmą! „Po co mi tam”, mówi jeden z drugim, „mnie wystarczy co mam...”

Jakimś niezwykle rzetelnie zbieraniem okoliczności wysłuchano na terenie tego zakładu w cztery dni później krótkometrażówkę „Korea oskarża”. Być może zrobię jakąś małą pomyłkę w cyfrach, ale o ile pamiętam, na trzynastu opornych na jednym oddziale dziewięciu zgłosiło się po obejrzeniu tego filmu do Rady Zakładowej i podjęło warty pokoju ani nie najłatwiejsze, ani nie najkrótsze.

Nie trzeba chyba studiować Makarenki, aby wiedzieć, że świadomość własnej wartości równa się zawsze świadomości społecznego znaczenia zadań, jakie się spełnia. Te trosce, trzeba lojalnie przyznać, nasza agitacja poświęciła niemało miejsca. Czy zawsze w sposób właściwy? W zeszłym roku np. wisiała na terenie jednej z warszawskich budów (a może zresztą do dziś jeszcze deszcz jej; nie zmył ani chuligan nie stracił) tablica BHP: „Dbaj o bezpieczeństwo pracy, bo twoje zdrowie warte jest dla Planu 6-letniego”. W wariancie nieco zmodyfikowanym rozgłaszano tę myśl przez megafony samochodów prowadzących lekcje nauki chodzenia po ulicach słowami mniej więcej takimi: „Strzeż przed kalectwem ręce i nogi, bo potrzebne są dla Planu 6-letniego”. Na ścianie przy-

chodni napis: „szanuj oczy, bo są potrzebne dla produkcji”. Nie, nie zaniedbuje się również żadnej sposobności, aby zdeklarować własną postawę wobec obowiązującego w naszym ustroju stosunku do pracy ludzkiej, inicjatyw, myśli. Wystarczy wyczytać się w naniś na murach, płotach, ścianach. Kierownictwo świetlicy w warszawskim hotelu robotniczym przy ul. Ogrodowej 24 w takiej formie zadeklarowało swoją troskę o świadomość społeczną wychowanków: „Tematyczne kierowanie ruchem wynalazczości” — czytamy na olbrzymim płótnie — „powiązane z planem produkcji” — usprawnia i przyspiesza przebieg procesów produkcyjnych”.

Ileż — w rzeczywistości — głębokiego, odrzucającego lekceważenia dla ludzkiego, dla uczuć związanych z procesem produkcji, dla poruszeń umysłów i serc jest w takim tłumaczeniu idem per idem, produkcji produkcji, bez pokazania rzeczywistej, społecznej, ludzkiej wartości podejmowanych wysiłków.

Nie odkryję chyba Ameryki, gdy powiem, że człowiek, który poczuje swojej wartości znaleźć w świadomości wartości społecznej swojego działania, nie będzie po pijanemu tarzał się w ryśzoku ani nie będzie chuliganem. Znam np. wypadek, kiedy słusarz-alkoholik zmieniając zakład pracy dostał się do pracujących dobrze brygadę i — przez pomyłkę zresztą — nazwisko jego ogłoszone zostało na liście przodowników pracy, a duże zdjęcie zawisło w ulicznej gablotce. Atmosfera szacunku społecznego, jaką został nagle otoczony, zadecydowała o radykalnej zmianie postępowania.

Nie odkryję również Ameryki, stwierdzając, że świadomość uczestnictwa w budowie socjalizmu w naszym kraju, uczestnictwa w procesach niosących światu postęp i wyzwolenie może oddziaływać na poczuć każdego z nas. Można się więc bez nadmiernej karkołomnej dedukcji zaniepokoić o zbyt wolny wzrost świadomości zwłaszcza naszej młodzieży, zaniepokoić się o poczuć osobistej wartości poważnej liczby ludzi naszego społeczeństwa.

CZY NAPRAWDĘ LUKSUS?

Sprawdzeniem działalności naszej propagandy powinna być umiejętność dialektycznego myślenia ludzi naszego społeczeństwa, zdolność widzenia w swojej codziennej, niepozornej nierządki pracy realizacji wielkiego celu i sensu naszych czasów, zdolność myślenia procesami.

Dokończenie na str. 2)



David Alfaro Siqueiros. Matka i dziecko. Piroskita, 1952. (studium do malarstwa ściennego)

Siqueiros

Wulkaniczne szczyty nagie i dzikie, spalona słońcem ziemia, tropikalna roślinność porastająca strzaskane miasta Mayów, to kraj rodzinny Davida Alfaro Siqueirosa. Urodzony w Chihuahua w r. 1896, wychowywał się w szkółce parafialnej, a potem znalazł się w szkole artystycznej w San Carlos. Były to czasy rewolucji. Lud meksykański wystąpił zbrojnie przeciw znieprawdzonej dyktaturze Porfiria Diaza, burząc resztki feudalizmu. Trzeba było bronić rewolucji. Siqueiros zaciągnął się w szeregi walczących. Wraz z Diego Rivera wyjeżdża Siqueiros na dalsze studia do Paryża. Tam wydaje słynny manifest do artystów Ameryki, domagając się stworzenia sztuki wielkiej i bohaterskiej, związanej z walką ludu. Od roku 1922 wraz z przyjaciółmi Orozco i Rivera pokrywa mury miast meksykańskich swymi pracami. Tworzy zrzeszenie Rewolucyjnych Malarzy, Rzeźbiarzy i Grafików. Przez trzy lata jest działaczem Zw. Zawodowego Górników w prowincji Jalisco, w r. 1927 po raz pierwszy wyjeżdża do ZSRR w charakterze delegata na kongres związków zawodowych. W latach wojny hiszpańskiej dowodzi zmotywowaną brygadą, bierze udział w bitwach pod Teruellem, La Granja, Sierra Herrera. Tam poznaje gen. Waltera Swierczewskiego, co staje się zawiązkiem trwałej przyjaźni artysty dla Polski.

Życie jego staje się życiem człowieka walczącego — o sztukę i o wolność. Jest prześladowany, wielokrotnie aresztowany. Należy już dziś do klasyków nowej sztuki meksykańskiej.

Wielkiego artystę gościłmy obecnie w Polsce. Poznaje nasze życie, sztukę naszego kraju. Wkrótce przystąpi do monumentalnej pracy, jaką będzie wykonanie malowideł ściennych, zdobiących nowy stadion warszawski.

Obywatele małego i wielkiego świata

(Dokończenie ze str. 1)

dostrzegania ostatecznych następstw i obiektywnego znaczenia swojej działalności, a tym samym osobistej wartości.

— To jest i nierealne i luksus — odpowiedział mi wręcz pewien przedstawiciel prasy.

Wydaje mi się, że ta właśnie „ziemia niczyja” życia psychicznego człowieka — nie objęta propagandą, z rzadką ożywianą agitacją — rodzi skarlale twory obojętności ludzkiej, poczucie izolacji i społecznej bezwartości. Tworzy „życie wyłączone”, że użyję zapożyczenia od Kazimierza Wyki.

Na pytanie zaś, czy zdolność myślenia procesami jest luksusem czy koniecznością w naszych stosunkach społecznych, znalazłam odpowiedź w tzw. terenie. Rozmawiałam z młodym, może 30-letnim tkaaczem z „Marchlewskiego”.

— Jak się da, to ludzie kradną — mówił. — Ja tam nie kradnę, bo ja jestem spokojny człowiek. A że inni... to co mnie to obchodzi?

— To waszego interesu w tym nie ma?

— Mój? — zdumiał się. — Jak ktoś kradnie, to jest sprawa jego i strażników. Albo dyrektora. A co ja będę ich wyreczał? Co mnie to obchodzi?

Oczywiście, żeby mogło go to obchodzić, żeby rechał czynnie reagować, trzeba by przede wszystkim nauczyć go myśleć dialektycznie, myśleć procesami: ukazać cały mechanizm powrotu produktu dodatkowego poprzez budżet oświeceniowo-światowy, pozwolił zrozumieć czynności, warunkujące taką a nie inną drogę powrotu tego produktu. Nie spotkałam na terenie żadnego ze znanych mi zakładów produkcyjnych. Nie spotkałam w prasie takiej metody mobilizowania opinii pracowników przeciw okradaniu społeczeństwa. Oczywiście, zakazując i ustanawiając kary, można osiągnąć doraźne efekty. Ale dopóki poza zakazem nie odwołamy się do świadomości, przekonania i osobistej aprobaty ludzi, nie pozyskamy pełnej ich inicjatywy i czynnej pomocy.

Rozmawiałam kiedyś długo z przygodną towarzyszką podróży, tkaczką jednego z łódzkich ZPB.

— Do współzawodnictwa nie przystąpiłam — opowiadała — bo po co mi to?

— A jak sobie pani radzi z normą? — zapytałam.

— To zależy — odpowiada obojętnie. — Jak popadnie. A zresztą jak nie wyrobie, to tylko moja strata.

— I nie gryzie to pania, jak ją wykonasz? — uśmiecham się.

— Paani — spogląda na mnie ze zdumieniem. — Grzyć to się można człowiekiem, dzieckiem albo mężem, ale robotą?

Opowiadała mi później długo o swoim synku.

— Ale wojny by pani dla niego nie chciała? — spytałam.

— Woyny? — urwała w pół słowa. — Och, pani, byle nie wojny! Niechby się lepiej nie rodził... Czego by matka nie dała, żeby dziecko uchronić. Wszystko.

— A jak pani myśli — zapytałam jeszcze. — Czy jakby wszystkie państwa miały nasz ustrój, to byłoby wojny czy nie?

Nie wiedziała.

Pokazano mi studentkę, która od trzech lat nie była na żadnej wystawie, nie czytała dzienników ani tygodników, z rzadka tylko odwiedza kino. Nietypowa? Kiedy na UW zwerbowano zaciąg festiwalowych tłumaczy spośród studentów, okazało się, że poważny odsetek nie zna np. artykułu Arceizewskiego z tej prostej przyczyny, że nie czyta „Nowej Kultury”, jak zresztą i innych tygodników. Bardzo wysoki procent nie czyta dzienników, nie orientuje się w kulturalnych i politycznych wydarzeniach w kraju. Owa studentka nie była osobą nieinteligentną. Rozmowa z nią przypominała mi po prostu komсомола Juchowicza z „Fabryki martwych dusz”. Majakowskiego, który oświadczył: „Poprzedzając na tym, że kupiłem sobie gitarę i gram w domu”.

— Człowiek lubi się interesować tym — powiedziała mi w rozmowie — na co może mieć wpływ. Co jakże wiąże się z jego życiem. Ale co po tym, że ja na przykład będę studiować pilnie treść konferencji genezewskiej? Czy ja o niej przeczytam czy nie, to i tak wszystko z góry ustalone, rząd radziecki reprezentuje taką a taką linię, amerykański — inną, wszystko rozgrywa się w świecie, na który my nie mamy żadnego wpływu. I w ogóle: co ma być, to i tak będzie.

Kiedy jej odpowiadałam, że każdy z nas ma swój udział w tym, jaką pozycję Polska będzie miała w świecie, i jak z nią będą rozmawiać — zawałała się na moment, ale po chwili powtórzyła siłą nawięku:

— Mnie w ogóle mało interesuje życie, bo co ma być, to i tak będzie... Skończył się zresztą okres, kiedy ludzie, jak w rewolucji, czynnie „tworzyli historię”, i teraz mamy dużo nudy, wszystko rostrzyna się bez nas, wszystko mamy podawane na talerzu.

REWOLUCJA I ROZWÓJ CZŁOWIEKA

Powinno napisać: to naprawdę poważne oskarżenie naszych metod propagandy, jeżeli nie potrafimy one oddać ludziom pełnego

blasku i obiektywnej wielkości ich „małych”, żmudnych, codziennych wysiłków, zostawiając im tylko poczucie trudności dnia powszedniego, zmęczenie, nierzadko gorzkie. To naprawdę poważne oskarżenie naszych metod propagandy, jeżeli nie potrafimy pozyskać i zaktywizować całej ludzkiej energii, inicjatywy, woli. Ale właściwie tak napisać nie mogę. Tak rzadko bowiem jeszcze spotykamy się w naszym życiu społecznym z przemysłową, konsekwentną propagandą, która by uświadamiała ludziom przynależność do wielkiego świata.

Odnalazłszy właściwy mechanizm rozwoju historii poprzez zmiany stosunków produkcji, odrzuciwszy utopijny obraz przemiany świata poprzez wychowywanie, stworzyliśmy w naszej praktyce społecznej jako „produkt uboczny” naszego postępowania (że użyję terminologii Woroszyńskiego z zeszytowanego Zjazdu Literatów) metodę absorbowania energii i siły ludzkiej, bez równoczesnego budowania uzasadnień tych wysiłków w świadomości i tworzenia w niej właściwego obrazu świata.

Prasa codzienna na przykład bardzo często upraszcza swoje zadania, zamieniając propagandę na agitację. W nielicznych redakcjach dzienników istnieje dział polityki krajowej, tak jak w każdej jest dział mający za zadanie wyjaśnianie polityki międzynarodowej. A ile wśród tych istniejących działów polityki krajowej znajdziemy takich, w których równoległe z realizacją konkretnego planu tematycznego realizowałyby się przemysłowy zbiór założeń ideologicznych? Który z tych działów stawia sobie za zadanie poznanie i ustalenie (nie intuicyjne) reszpołu pojęć tyoowych dla czytelników danej gazety, kontynuację ich, polemikę (w specjalnych reportażach czy felietonach) z nawykami przeszłości, uczenie myślenia dialektycznego, wypracowanie w umyśle odbiorców systemu skojarzeń codziennego wysiłku, trudności życiowych — z procesami przekształcającymi wielki świat? W którym z nich wreszcie staje się codziennym zadaniem konfrontacja z odbiorcą, śledzenie jego reakcji z taką samą uwagą, z jaką śledzi się np. dyrektywy i reakcje czynników nadzecznych?

„W komitetach i kółkach spotkacie ludzi zagłębiających się nawet w specjalne studia nad jakąś gałęzią produkcji żelaza — nie spotkacie jednak prawie przykładów, aby członkowie organizacji (zmuszeni, jak to często bywa, do odejścia z tych czy innych względów od roboty praktycznej) specjalnie zajmowali się zbieraniem materiałów dotyczących jakiegoś pałacowego zagadnienia naszego życia społecznego i politycznego, zagadnienia, które mogłoby dać okazję do roboty socjaldemokratycznej...” — pisał Lenin w roku 1905. W roku 1955 nie spotkałam działacza ZMP-owskiego, który by takie zadania sobie postawił. Znam tylko dwu dziennikarzy, którzy z każdej okazji wchodzi, między ludzi, aby zrozumieć ich nastroje, problemy, sposób myślenia.

Istnieje jeszcze obłudna teoria, że okazja do politycznej agitacji jest w specjalnych studiach nad jakąś gałęzią produkcji żelaza — nie spotkacie jednak prawie przykładów, aby członkowie organizacji (zmuszeni, jak to często bywa, do odejścia z tych czy innych względów od roboty praktycznej) specjalnie zajmowali się zbieraniem materiałów dotyczących jakiegoś pałacowego zagadnienia naszego życia społecznego i politycznego, zagadnienia, które mogłoby dać okazję do roboty socjaldemokratycznej...” — pisał Lenin w roku 1905. W roku 1955 nie spotkałam działacza ZMP-owskiego, który by takie zadania sobie postawił. Znam tylko dwu dziennikarzy, którzy z każdej okazji wchodzi, między ludzi, aby zrozumieć ich nastroje, problemy, sposób myślenia.

Przez wiele lat jeszcze uprzątać będziemy gruz burżuazyjnych stosunków społecznych, zawałających drogę rewolucji. Długo jeszcze będziemy odkrywać jej ośmiorność i prawdziwą wielkość. Sprzeczne z jej założeniami okazują się już nie tylko te formy ograniczania i izolacji jednostki, jakimi są miedze i prywatne warsztaty — sprzeczne okazują się wszystkie formy izolacji i ograniczania świadomości jej budowniczych.

Sygnałem tej sprzeczności jest konflikt, w jaki nieuchronnie wpada z interesami naszego społeczeństwa człowiek wyizolowany, człowiek zamknięty w małym świecie produkcyjnych usług, nie ogarniający świadomością rzeczywistego sensu swojej pracy. Takiemu człowiekowi nie jesteśmy w stanie przywrócić jego prawdziwej siły społecznej. Taki człowiek z kolei nie potrafi oddać społeczeństwu tej energii i inicjatywy, której wymaga od niego nasz rozwój społeczny. W ścianach małego świata plenią się relikty wszystkich minionych ustrojów — brak poczucia społecznej wartości wykonywanej pracy, brak poczucia osobistej wartości wynaturzającego człowieka, spychający go, jak owego „Pijanego Józka” z mądrego pięknego wiersza Różewicza, na drogę pijaństwa, chuligaństwa, czynności obcej ludziom. Nasze błędy w postępowaniu, nasza uproszczona metoda werbowania energii ludzkiej przedłuża żywot tych relikwii.

Danuła Zablocka

WANDA MELCER

Dziewczęta skarżą

„przadki” i zastępuje nie istniejącą najprawdopodobniej świetlicę. Ołóż Zosia z koleżankami jest na takiej „kądzieli” w domu gospodarza J. Pomagają gospodni, przyniosły też własny len, chłopcy przynieśli wódkę. Zbliży się godzina dziesiąta, dziewczęta zaczynają się rozchodzić. Dwie koleżanki idą naprzód, za nimi Zosia z synem młynarza Ch. Zosia nie ma we wsi wielkiego powodzenia, to dziewczyna zamknięta w sobie, milcząca, nawet ponura, ale cóż, chłopiec jej się podoba i ona spodobala się chłopcu...

Mija parę miesięcy, dziewczyna zaczyna się niepokoić, ale nie nikomu nie mówi. Przyjaciółka rozgłasza, że syn młynarza Ch. jest ojcem, on sam chwali się przed kolegami, że tak zgrabnie uwinął się z dziewczyną. Rodzice dowiadują się o wszystkim, ale i teraz jeszcze nikt nie porozumiewa się z domniemanym winowajcą, który tymczasem upatrzył sobie pannę z dalszej wsi i z nią się żeni. Gdy dziecko przychodzi na świat, położna zwraca uwagę, że Zosia powinna wskazać sprawcę. Rodzice w drugiej izbie mówią inne nazwisko, Zosia, która leży w bólach, słyszy to jakoby, ale nie protestuje.

No i jest sprawa. Sąd powiatowy zasądził alimenty, ale pozwany

szy ją na lewą stronę. Mietta robi sztandar dla ludowego wojska. Wiesz dopuszcza te spacerki pod wspólną peleryną, bo właśnie one są gwarancją, że nie tam zdródnego zająć nie może. Czyżby ostryżkie płaszczki miały jakieś tajemne właściwości, których francuskie mieć nie mogły? Może była to po prostu — ochrona przed deszczem?

A gdyby nawet Zosia przed urodzeniem dziecka pomyślała o kimś kto może zdradzał do niej skłonność? Robiła zapewne nieśmiałe próby, żeby przyciągnąć do siebie niewiernego, a kiedy to się nie udało, czemuż nie miałaby pomyśleć o innym, który może by się ożenił, może zaopiekowałby się nią i dzieckiem, choćby nie własnym?

Ale nie, podobno nie wolno jej było myśleć o nikim. Wszystko co stanowi jej najintymniejsze przeżycie, zostaje przedstawione w najbardziej brutalnej formie, w formie o wiele brutalniejszej niż zrobiłoby to ginekolog. Ginekolog przynosi przecieć życia! Roztrząsa się teraz, co przeżywała i jaką formę miało to drugie spotkanie, które — zapewne w odpowiedzi na precyzyjne pytania — charakteryzuje z niezwykłym nagromadzeniem szczegółów. Kiedy potem dzielimy się z towarzyszką sędzią, asystującą rów-

i styl życia — wszystko inne, choć i ta, jak tamta, jest wiejską dziewczyną. Tylko krzywdą ta sama.

Broni się osobiscie, adwokatka ma. Wygadana, śmiała. Wieczna ondulacja, sukienka w kwiaty. Zresztą nieładna i starsza od tamtej, mł. trzydziści lat, choć na tyle nie wygląda. Jej historia nie trudna do odgadnięcia. Pracowała jako urzędniczka w Samopomocy Chłopskiej, potem zaczęła trochę handlować. Ma na utrzymaniu matkę, a handluje i teraz, trochę wódką, trochę czynem innym. Scalano grunta, zakładano spółdzielnię, we wsi zjawili się miernicy, geodeci. Był między nimi przystojny dwudziestoletni chłopak, ona miała lat dwadzieścia pięć. Nudziło mu się samemu, wiadomo, mężczyzna musi żyć — i zaczął do niej chodzić. Ale pomiary wkrótce się skończyły, geodeta odjechał. A tutaj — dziecko. Sześć lat go nie szukała, potem jakoś przypadkiem znalazła, okazało się, że jak ona pochodzi z chłopów, z dalszej nieco, ale niezbyt dalekiej wioski. A ten adwokat co go broni, też z tamtych stron, znają się — powiada — jak lyse konie na jarmarku i niejednego kielicha razem wypili. Były już badania lekarskie, a jakże. Badano grupy krwi. Ona ma grupę A, dziecko i domniemyany ojciec grupę B. Więc ojcostwa to nie wykluza, choć i nie dowodzi z całą pewnością — gdyż wobec znanych trzech grup krwi O, A i B, tę grupę krwi ma wielu ludzi w Polsce. A jeśli chodzi o finansowe wymagania matki, to nie są one wcale takie skromne: trzysta złotych na miesiąc i zaległości za minione sześć lat (te sprawy nie ulegają przedawnieniu). Sąd powiatowy przyznał jej alimenty miesięczne w żądanej wysokości i jednorazowo trzy tysiące dla dziecka, już się niby ugodziło — ale pozwany znowu założył rewizję i trzeba wszystko zaczynać od początku.

I teraz występuje jego adwokat. Doprawdy, koncertowe to przemówienie wiejskiego Demostenesa i choć poprzednia sprawa niejednego nas nauczyła, ta obrona przewyższa wszystko inne. Oczywiście wyprobowanym trybem robi się z dziewczyną prostytutkę. Stara (35 lat) pijaczka i rozpustnica zwabiła w swoje sieci niedoświadczzonego młodzieńca. Poła bimbrem całą okolicę, wszyscy do niej przychodzili, z tym geodetą znali się akurat bardzo mało i nikt ich nigdy razem nie widział. A już co do pocałunków, to nikt i nie słyszał o niczym podobnym. Klient mecenasa to w tym ujęciu istna lilijska polna, a ileż pokus na drodze takiego cnotliwego młodzieńca! Natomiast ona — istna Messalina, zadnemu nie przepuściła, a że teraz żyje z tym N., to powszechnie wiadomo. Zaś geodeta ożenił się, to mu przecież wolno, bo taki skromny chłopiec załatwia wszystko jak należy, bez księdza i notariusza ani spojrzysz na kobietę. Natomiast te kobiety — i tu mecenas robi efektowną pauzę — kobiety, proszę wysokiego sądu, to mistrynie kłamstwa. Gdyby panowie sędziowie czytali taką np. „Medycynę Sadową”, dowiedzieliby się, ile piekielnych forteli używają te przewrotne istoty dla opłatania mężczyzn. Nikt im nie ujdzie. I ta, proszę — miała dwadzieścia pięć lat a twierdzi, że była dziewicą. Śmiech słuchacz, alboż teraz bywają dziewice, i to jeszcze w tym wieku? A te sześć lat po co czekała, chyba tylko, by klient zaczął porządnie zarabiać?

A cóż, miała z gołego ściągać? I tej niebezpiecznie szła się oczy. I ta została utarzana w błotnej kąpieli. A sędziowie naprawdę nie wyglądają na ludzi, którzy nie lubią czytać, choć adwokat poucza ich o „mistryniach kłamstwa”. Zaś dowód prawdy śpi spokojnie w ostatniej ławce, wsparłszy skołataną głowę o ścianę. A trzeba dodać, że te żywe dowody wyglądają na dzieci kochane. To nie tak jak w staropolskim przysłowiu: „jak na łowy jechać, to psy karmić”. Te dwie małe istoty — bo i poprzednia również — są dobrze odżywione, mają zdrowe cery, pulchne ciała, ładne sukienki, starannie zawiązane kokardy. To nie pokaz — to dziecko, o które dbają.

Ukazała się bardzo ciekawa książka na temat alimentacji. Autor Zygmunt Ziemiński, tytuł: „Podłoża sporów sądowych o alimentację dziecka pozamatrimonialnego”. Są tam ciekawe statystyki, są ciekawe ujęcia społeczne. Bo czyż to wszystko — wygraz sprawę o alimenty, a dodajmy, że matka, która już się na to decyduje, przeważnie wygrawa. Alimenty nie tylko muszą być przysądzone, alimenty trzeba jeszcze otrzymać, a o tym statystyki niedobrze mówią. Jest taka tabelka na str. 151, dotycząca zresztą tylko lat 1950—52, przebadanych spraw i materiałów z Poznania i paru jeszcze miejscowości, a więc nie powszechna i nie z dziesięciolecia. Ale niewesoła to statystyka. Powiada ona, że tylko 27,3 proc. zasądzonych płaci regularnie alimenty. 34,7 proc. płaci przez komornika (czasem uzasadniając te dziwne skłonności do oddzielnych kosztów „że nieprzyjemnie te kobiety spotykać”) — natomiast reszta płacić nie chce i wymyka się

(Dokończenie na str. 7)

GRYGOŁ ABASZYDZE

POŻEGNANIE

Odeszłaś, aby już nie wrócić więcej —

I nie ma po co czekać wciąż przed progiem.

Ty jak ptak w klatce żyjesz w mej pamięci,

Ty tkwisz w niej jak w pierścieniu brylant drogi

O cień twój, o tom tylko ciebie prosił —

Nie miałaś nad mą dolą złotowania.

Dziś umiem z drwiną myśleć o swym losie

I cień na znój zamieniam bez szemrania.

W cieniu usycha kłos, listowie wędnie,

Ku ziemi głowę chyli nieme ziele —

Lecz jak w twym cieniu głos mój brzmiał namiętnie!

Od płasich głosów dźwięcznie i weselej...

I w cieniu twym, nie prząc mnie swym znojem,

Słońca mi promień lśnił oślepiająco.

Słońcu śpiewałem pieśń — i w piersi swojej

Czułem swe serce młode niczym słońce.

Odeszłaś... Z innym... By nie wrócić więcej —

I nie ma po co czekać wciąż przed progiem.

Ty jak ptak w klatce żyjesz w mej pamięci,

Ty tkwisz w niej jak w pierścieniu brylant drogi.

Przełożył Eugeniusz Żytomirski

wnosi o rewizję. W sprawie są niejasności, które można wykorzystać, dziewczyna źle się broni, nie zgadzają się daty ani fakty. Obronca jej przed sądem wojewódzkim wygłosił bardzo interesującą mowę, powołując się właśnie na ową specyficzną ciekawą wiejską (czy tylko wiejską?), która zaciemnia dziewczynie jasny sąd o rzeczy. Ołóż przyzwolność wymaga twierdzić, że dziewczyna nie uległa własnowolnie, ale została zgwałcona. Rzekomo działało się tak nie tylko za pierwszym, ale i za drugim razem, a następnych miało już w ogóle nie być, bo przecież Zosia ciągle powtarza, że wołała o pomoc (o parę metrów od domu), i że więcej nie spotykała się ze swoim partnerem.

Jeżeli jednak obronca tłumaczy w ten — bardzo prawdopodobny — sposób różnice powstałe w określaniu czasu, kiedy dziecko mogło być poczęte, adwokat przeciwnicy, najwyraźniej nie oszczędza dziewczyny. Jakimże to sposobem Ch. ma być ojcem, skoro spotkali się raz tylko w grudniu, a dziecko przyszło na świat w listopadzie? Przyjaciółka, która wyjechała potem do jakiegoś gospodarstwa na roboty, zeznaje precyzyjnie o tym pierwszym zetknięciu, że to było „w grudniu, jeszcze” przed świętami. Kiedy był spis ludności? Tak więc 300 dni, które dopuszcza kodeks polski, są z górą przekroczone, musiałaby nosić dzieciaka jędenaście miesięcy. No, a moralność tej dziewczyny? I tu zaczyna ją płynąć kuby bóla. Chodziła przecież z Z., chodziła z K., wszyscy we wsi wiedza, że to nie pierwszy raz. Szczególnie ten K. powraca potem w różnych wersjach. Widujemy go na przykład z Zosią, jak szli okryci jednym płaszczem.

Jednym płaszczem! I to ma być dowód zdrady? Czy przypominać sobie śliczne spacerki Siwierszusa z Miettą, które tak sugestywnie opisuje Zola? I oni także wedle zwyczaju przyjętego w tej okolicy spacerują — jak inne chłopskie pary — okryci wspólnie wielką, ciemną peleryną Mietty z czerwoną podszewką, z której potem, odwróciw-

niez na sprawie, spostrzeżeniami, stwierdzamy z podwójnym zażenowaniem, że żadna z nas nie potrafiaby równie szczegółowo scharakteryzować swoich doznań, jak ta cnotka, gdy ją przyciśnięto do prawdziwego muru.

Stoi teraz pod oknem i słucha. Jej duże oczy szklą się niepokojąco w cieniu framugi. Wzwaną bliżej i najogólniej rozpytywana przez sąd, wybucha namiętnym protestem, podnosząc w górę spracowane ręce:

— O staję drogi od każdego uciekałam!

Teraz już szlocha głośno, nerwy nie wytrzymały. Po namacze sąd wyda wyrok. Prosta sprawa, nieprawdaż?

Sprawy alimentacyjne są w zasadzie wolne od opłat, ale kiedy ta właśnie sprawa była po raz drugi w sądzie powiatowym, powodstwo zostało oddalone i w związku z tym powódka obowiązana jest zwrócić — jak chce art. 100 — „koszty jednego adwokata”. Skarb Państwa zrzeka się swoich pretensji, ale zasada od dziewczyny 700 złotych na pokrycie kosztów adwokata strony przeciwniej, bogaty młynarz zdążył pieniądze. Zwracać koszty adwokata, który tak bohatercko wybronił jej kochanka z opieki nad dzieckiem, to rzecz szczególnie bolesna. Czy nie można by zmienić tych przepisów tak, by sąd — w każdym wypadku wedle swego uznania — mógł wziąć pod uwagę, że matka w dobrej wierze wytacza powództwo i zwolni ją z tych kosztów?

Tymczasem rozpoczyna się druga sprawa, spojrzmy więc na drugie dziecko. Gdy matka podchodzi do sędziowskiego stołu, pozostaje ono w ostatniej ławce. Wydawszy białą szzyjkę i odrzućwszy w tył skołataną głowę, śpi słodko, mrużąc z cicha prześ sen. I ten lata nie stawia się na rozprawę, adwokat będzie go bronił przed „wyzyskiem” kobiety.

Bo ta sprawa jest zupełnie inna — i dziwiwca jest zupełnie inna. Cóż za antyschematyczne opowiadanie! Wygląd, ruchy, słowa, historia

JAN SPIEWAK

Bronię nuty człowieczej

1. Nie zwrócono dotychczas uwagi na pewną specyficzną cechę naszej literatury poetyckiej. Może dlatego, że nie jest ona nazbyt wyraźna dla wszystkich. Jest to cecha bardzo zabawna, powiedzmy — tragiczna. Szereg pisarzy, nawet wybitnych, dyskutuje niekiedy tak, jak gdyby nosili ciągle przykrotkie spodniki, które ani rusz nie chcą urosnąć. Niektórym ludziom, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę, ba, nawet znacznie więcej, wydaje się, że mają lat osiemnaście, że dopiero zaczynają pisać, że nie się na świecie nie zmieniło, że istnieje „Skamander” w swym najbardziej ekscytującym okresie, że egzystuje tzw. krakowska awangarda, dokonująca swoich „wiekopomych” odkryć, że istnieje jak kiedyś „Zagary”, mocno kokietujące „Skamander” i Skamandrytów. Pisarze ci toczą dawno załatwione spory, gniewają się na siebie za coś co dawno już nie istnieje.

Powie ktoś, że to paradoks albo wręcz wymyślony żart. Niestety, tak nie jest. Antoni Słonimski w przedmowie do nadmiernie skromnego wyboru wierszy Marii Pawlikowskiej, którego był redaktorem, pisze:

„Pawlikowska nie ulegała modzie awangardy i nie podała się wpływowi młodopolskim. Poezja jej była wzorem czystości wersyfikacyjnej, czytelności, komunikatywności i niezwykłej, doprowadzonej do perfekcji, oszczędności słowa. Porównano ją do Safo i Marcejalisa. Boy pierwszy dostrzegł „klasycyzm” Pawlikowskiej. Jeśli zgodzimy się, że „Skamander” był reakcją na rozchrzanie młodopolskie i supremację tematów ekliwopatriotycznych, uznaje musimy Pawlikowską, która łączyła tematykę realistyczną z nie-naganną dyscypliną formy, za typową przedstawicielkę tej grupy”.

Mówiąc krótko, Słonimski uważa, że ponieważ Pawlikowska nigdy nie ulegała wpływowi awangardy, była czołową poetką „Skamandra”, ergo twórczość jej była postępową i realistyczną. Papię krakowskiej awangardy Tadeusz Peiper twierdzi do dzisiejszego dnia, że zbiór jego esejów „Tędy” jest jedynym drogowym wskazem dla literatury. Powiada on: „Tędy — tędy”. Wszystkie oceny i sądy Juliana Przybosa, które głosi on współcześnie, są ekshumowane sprzed trzydziestu lat.

2. Uwagi te dotyczą nie tylko poetów, ale też krytyków, którzy oceniają często dwudziestolecie z pozycji dwudziestolecia, przywiązując niezmierną wagę do tzw. programów poszczególnych grup i grup. Biorą na serio to, co nie było pisanie na serio. Byłem swego czasu na referacie prof. Kazimierza Wyki, który oceniał twórczość Skamandrytów na podstawie tzw. programu „Skamandra”, napisanego zresztą nie przez Skamandrytów. Pamiętam, zwróciłem wówczas skromnie uwagę prof. Kazimierzowi Wyce, że moim zdaniem trzeba badać przede wszystkim twórczość danych poetów. Wydaje mi się, że po to ostatecznie istnieje dystans historyczny, abyśmy mogli teraz całkowicie bezstronnie oderwać się od ówczesnych koteryjnych ambicji i sporów. Niech twórczość mówi sama za siebie.

3. Uwagi poprzednie nie wyczerpują całego zagadnienia. Odśroiliśmy jeszcze jeden fakt, który bardzo mnie martwi. Widzę u niektórych poetów z tegoż pokolenia, bez względu na przynależność do grup poetyckich, pewien nonszalancki stosunek do poezji, i tej, która istnieje, i tej z okresu tzw. dwudziestolecia. Mało co się im podoba. „Wyboru” poetów z okresu „dwudziestolecia”, które sami redagują, są szczupłe i krzywdzące.

Wydawałoby się, że po wojnie, po groźnej nocy okupacji, w czasie której zniszczyły się i spaliły bezpowrotnie setki tysięcy książek, kto jak kto, ale poeci z całą żarliwością i szacunkiem dla pracy twórczej zaczęli wydawać wszystko co udało się uratować, a co jest osiągnięciem polskiej literatury. Wiemy dobrze, że przed wojną tomiiki poetyckie wydawano w minimalnych nakładach, wiemy jak trudno do nich dotrzeć, wiemy, że pozostałe po wielu poetach z tego okresu rękopisy tułają się nie wiadomo u kogo. Trzeba je zbierać, gromadzić, wydać, a historia — miejmy do niej zaufanie — zawsze surowa dla poetów, sama dokonuje odpowiedniej selekcji. My zaś bądźmy skromni, i w tym co redagujemy, i w tym co piszemy.

4. Uważałem i uważam, że poetów z okresu 20-lecia, a zwłaszcza tych którzy zginęli w czasie wojny i okupacji, trzeba wydawać z dużym pietyzmem. Dlatego też gorąco walczyłem o stworzenie biblioteczki poetyckiej w „Czytelniku”, w której ukazywałyby się jak najobszerniejsze wybory wierszy tych poetów. Tak właśnie zredagowałem wiersze Ginczanki i Weintrauba, i taka właśnie myśl przysięcała Sewerynowi Pollakowi i mnie, kie-

dyśmy redagowali „Wiersze” Józefa Czechowicza. Niestety, do niektórych wierszy Czechowicza nie udało nam się dotrzeć, a kilka z nich przeoczyliśmy. W drugim wydaniu, a mam wrażenie, że po pewnym czasie musi się ono ukazać, wszelkie braki będą uzupełnione. Zabrałiśmy się do pracy, a trwała ona dwa lata, dlatego, że bardzo cennymy poezję tego świetnego poety. Wstęp nasz zapewne nie jest wyzerpniętym, nie jesteśmy zawodowymi krytykami. Po ukazaniu się „Wyboru” pierwszy rozpocząłem dyskusję nad poezją Czechowicza, drukując artykuł o nim w „Twórczości”. W artykule tym skrytykowałem niektóre nasze sformułowania, które po przeczytaniu w druku wydawały mi się nieprecyzyjne. Od tego czasu minęło dobrych parę miesięcy i w wielu pismach ukazały się obszerne recenzje omawiające z dużym szacunkiem poezję Józefa Czechowicza. Wiem o szeregu rozpoczętych i zaplanowanych prac krytycznych o poezji Józefa Czechowicza. Ogólne wrażenie z artykułów i odgłosów czytelników, jakie dochodzą do mnie, jest jedno: oto przybył czytelnikom polskim niezwykły i pasjonujący poeta. Dla wielu czytelników, zwłaszcza młodego pokolenia, poezja Czechowicza stała się wielkim odkryciem.

Gdy się dowiedziałem, że do „Nowej Kultury” recenzję ma napisać Julian Przybós, byłem niezmiernie zadowolony. Wydawało mi się, że esej Przybosa przyniesie wiele wnikliwych i odkrywczych spostrzeżeń. Niestety, głęboko się rozczarowałem.

Przybós, na ogół opanowany, nie przebiega w słowach. Kpi z redaktorów nazywając ich „sezonowymi krytykami”, niedowzniecznie dając do zrozumienia, że są to łepi schematycy i zwykli łgarze, którzy w mętnej sposób najwyraźniej w świecie sfalszowali twórczość Czechowicza, przystosowując ją do jakiegos tam minionego już etapu w naszej polityce kulturalnej. No, ale diabli tam z redaktorami, żywi ludzie zawsze dadzą sobie jakoś radę, sprawa jest ważniejsza. Jaki obraz Józefa Czechowicza sugeruje czytelnikowi Julian Przybós? Moim zdaniem, Przybós stworzył złośliwą karykaturę, a sądy jego niestety, a właściwie na szczęście, nie odpowiadają rzeczywistości.

5. Jakie są zarzuty Przybosa? Pisz on, że: a) krytycy „przedstawili Czechowicza jako ofiarę środowisk literackich, które w nim wbrew niemu samemu widziały przedstawiciela „awangardy”; b) krytycy „zapewniają, że w istocie nie miał on nic wspólnego z tą „awangardą”, że był lenartowiczowski, nawiązywał do tradycji Sebastiana Klonowicza i konsekwentnie rozwijał się ku tradycjonalizmowi”; c) „tylko to, co było” nawiązujące

do tradycji (czytaj: epigońskiej) i tylko to co miało „wydźwięk” (czytaj: tromtadację) znajdowało łaskę u większości recenzentów”. Oto są w zasadzie najważniejsze zarzuty pod adresem wstępu.

Jak Przybós charakteryzuje i ocenia poezję Czechowicza czyli — jak jest w porównaniu do wstępu „pozytywny” sens jego krytyki?

Przybós twierdzi, że Czechowicz był i zawsze uważał siebie za awangardzistę, że tworzył z krytykiem Ludwikiem Frydem jakąś ogólnopolską wspólnotę awangardy, i powołuje się przy tym, oczywiście w sposób pozytywny, na antologię poetycką, którą ułożyli Fryde i młody krytyk Antoni Andrzejewski. Przybós twierdzi, że najlepszą książką Czechowicza jest jego debiut „Kamień”, dlatego „że słychać w nim odgłos radykalnych i „urbanistycznych” programów oraz wierszy nowatorów ze szkoły krakowskiej”. Twierdzi, że Czechowicz chwalił prowincję pod tym względem jest podobny do „Skamandrytów”, że „oprócz bardzo wielu wierszy tradycjonalistycznych i banalnych a także programowo „fantazjotwórczych” czyli wysiłonych, niezrozumiałych, złych — napisał kilka arcydzieł lirycznych”, że „skala jego uczuciowości nie była szeroka”, że „Czechowicz nie miał bujnej fantazji”, a z tego powodu „rezultat był opłakany”. Wobec powyższych swoich rozważań Przybós tworzy taką oto charakterystykę (cytuje w tym wypadku obszernie):

„Poezja Czechowicza nie była ani zmaganiem się ze swoim czasem, nie była podjęciem żadnego z ostrych konfliktów epoki, ani też nie była zmaganiem się poety ze sobą samym. Daleka od walki społecznej i rozterki wewnętrznej, ograniczona do tkliwych lub smutnych wspomnień z dzieciństwa, do obrazów z natury, do czułych sielankowych nastrojów, snów, kołysanek, elegii i przyspiewów”.

Dla dokładności relacji „obiektywnych” sądów Przybosa przytoczmy jeszcze parę cytatów, jakże charakterystycznych: „Sam (Czechowicz) biedny, nieuznawany przez oficjalną krytykę i wspierający jeszcze bardziej siebie kolegów-nędzarzy — nie buntował się w wierszach, lecz cierpił, znajdując ukojenie we wspomnieniach prowincji, małych miasteczek i wsi. Osiagał w tych swoich miniaturach czystość tonu i delikatność rysunku mistrzowska”. „Jest (Czechowicz) poetą bezbronnego inteligentkiego marzycielstwa, przerywanego lekkiem przed redukcją, nędzą i wojną”. Całość artykułu kończy Przybós następującym stwierdzeniem: „Bo prawdziwa poezja, choćby skromna i cicha jak Czechowiczowska, ujdzie cała z kłeszk dziełowych i opresji „etapowych krytyków”.

Jakiż to piękny, bezstronny obraz poety namalował Julian Przybós!

Z jakich pozycji pisał Przybós, co zobaczył w twórczości Czechowicza?

Na wstępie Przybós zapewnia, że Czechowicza właściwie nie znał, a przecież razem spotykaliśmy się z nim w mieszkaniu poety, ba, mówiliśmy o jego poezji. Co prawda, Przybós o twórczości Czechowicza wyrażał się zawsze z przekąsem, może dlatego, że nie pasowała ona do krakowskich teorii.

Zerwijmy wreszcie fałszywe mity. Dla Przybosa dostrzeżenie w twórczości poety (nie koniecznie Czechowicza) wpływów tradycji narodowej albo też wpływów innych literatur, w tym wypadku francuskiej, ukraińskiej i rosyjskiej, na co wskazywał wstęp a co jest bezsporne, jest równoznaczne z tradycjonalizmem, a dostrzeżenie problematyki poety czyli jego myśli oznacza „wydźwięk” czyli tromtadację. Jakież to wszystko jest pogmatwane!

A ja nie wyobrażam sobie utworu pisanego poza tradycją, poza kulturą, zwłaszcza własnego narodu. Natomiast ani rusz nie wierzę w jakieś permanentne nowatorstwo. Przybós zbyt łatwo upraszcza sobie sprawy. Co nie odpowiada jego smakowi jest tradycjonalistyczne i tromtadackie. Zresztą prób charakterystyki w tym wypadku są tak bardzo nieprecyzyjne, że trudno z nimi polemizować. Kiedy jednak mówimy o tradycji i oryginalności, chciałbym w tym miejscu przytoczyć zdanie Anatola France’a, jednego z najmądrzejszych pisarzy, jakich znam. W „Liście do Pana Karola Morice” pisze on:

„Nie zwraca się dostatecznej uwagi na to, że pisarz, choćby był bardzo oryginalny, więcej się zapożycza niż wynajduje nowego. Język, którym mówi, nie należy do niego; forma, w której odlewa swą myśl — oda, komedia czy opowiadanie — nie została przez niego stworzona; pisarz nie ma własnej składni ani prozodii. Nawet myśl jego podstępnie otoczenie. Otrzymał barwy, sam daje tylko odcienie, które niekiedy, wiem o tym, są nieskończenie cenne. Bądźmy na tyle mądry, by sobie to uświadomić; naszym dziełem daleko do tego, by w całości do nas należały. Rosną w nas, lecz wszystkie ich korzenie tkwią w ziemi żywiciela. Przynałmy więc, że dużo zawdzięczamy światu i że publiczność jest naszym współpracownikiem”.

Warto cytować France’a, chociaż kto wie, może i on był „sezonowym krytykiem”.

Odrzucając poeę od swego czasu, od swego narodu, Przybós przypisuje mu nieopomniane przez niego winy, a ponadto sztucznie zaciemnia jego inspiracje twórcze do „mitwczni” już, i świetle pamięci, tzw. krakowskiej awangardy.

(Dokończenie na str. 7)

Z POEZJI CHINSKIEJ



TS'AO SUNG

Protest w 6 roku Kien-fu

Ze wzgórz i strumieni równiny uczyniliście pole bitwy. Jak waszym zdaniem lud, który tu mieszka zapatrzy się w „siano i drzewo na opa”? Proszę, oszczędźcie mi gadaniny o nominacjach i tytułach. Sława jednego tylko generała oznacza dziesięć tysięcy trupów.

AI CING

Nędzarze

Na północy nędzarze włoką się wzdłuż rzek, włoką się po pochyłości żelaznych dróg.

Na północy nędzarze przenikliwymi głosami krzyczą o terenach nawiedzonych klęską i o polach nieublaganej wojny. Ale głód pozbawił starców liście, a nienawidni nauczyl młodych.

Na północy nędzarze przeszywały ciębie uporeczywym wzrokiem i wyciągając rękę, czarna, zgięta w łoku rękę proszą choćby o miedziany grosz. Proszą każdego, nawet żołnierza, który dawno nie widział miedzianego grosza.

1939

Rozmowa z węglem

- Gdzie mieszkasz?
- Ja mieszkam w łonie gór tysiącletnich, w tysiącletnim kamieniu mieszkam.
- Czyś bardzo stary?
- Jam starszy od gór, w których mieszkam i starszy od kamienia, starego jak góry.
- Od dawna milczysz?
- W owe czasy smok jeszcze władał lasami i wstrząsał warstwą ziemskiej skorupy.
- Czyś ty czasem nie martwy?
- Ja martwy? O nie! Jeszcze żyję na świecie. Tylko ognia mi dajcie! Dajcie mi tylko ognia!

Spolszczył Andrzej Wirth

Z książki Andrzeja Wirtha „Wiersze na kolbach”, która ukazuje się nakładem wyd. MON. Ts'ao Sung — 870—820; AI C'ing — współczesny poeta i krytyk literacki.

STANISŁAW DEMBOWSKI



O REFORMIE PISMA CHINSKIEGO

nastii Han, po przestudiowaniu historii rozwoju pisma chińskiego, w r. 121 zakończył pracę nad kompilacją słownika etymologicznego. Ten pierwszy słownik w świecie, zawierający ponad 9 tysięcy sklasyfikowanych znaków, które Sū Szen dzielił na sześć kategorii, zredukowanych w ostatnich czasach tylko do trzech.

Według współczesnych filologów chińskich rozwój pisma chińskiego dzieli się na pięć etapów (wylaczając najwcześniejsze pismo piktograficzne):

1. Starożytne pismo dynastii In i Czuu (XIII — VII w. p.n.e.). Było ono bardzo zbliżone do pisma piktograficznego.

2. Pismo „Ta Czuan” (koniec dynastii Zachodniej Czuu, VIII w. p.n.e.). Jest ono dalszym rozwojem pisma epoki poprzedniej. Znaczną część hieroglifów zostaje uproszczona, podczas gdy pismo innych hieroglifów korypikuje się.

3. Pismo „Siao Czuan” (epoka dynastii Cin, koniec III w. p.n.e.). Pismo to jest znacznie uproszczone w porównaniu z pismem epoki poprzedniej.

4. Pismo „Li Szu” (epoka dynastii Cin i Han, koniec III w.p.n.e. do III w. n.e.). Jest to uproszczone styl pisma „Siao Czuan”. Charakterystyczne proste linie i ostre załamania zamiast okrągłości stylu „Siao Czuan”. W tym okresie znaki poczęły przybierać formę zbliżoną do kwadratu. używaną dzisiaj.

5. Pismo „Kai Szu” z końca epoki dynastii Han, tj. od II w. do chwili obecnej. Różnica między stylem „Kai Szu” a „Li Szu” jest niewielka. „Kai Szu” jest wolne od resztek złożoności, bardziej usyste-

matyzowane, znaki mają czystszy kształt. Przyjęto ostatecznie zasadę pisanja znaków w formie kwadratu.

Pismo „Kai Szu” użyte pierwszy raz w II w. zostało uznane w epoce dynastii Tang (618—907) za „pismo oficjalne” i przetrwało prawie w niezmienionej formie do naszych czasów.

Tak więc od starożytnych czasów dynastii In do epoki feudalnych władców Cin i Han nieustannie prowadzono pracę nad usystematyzowaniem i unifikacją form pisma chińskiego, co sprzyjało jego rozwojowi.

W okresie wielowiekowego panowania feudałów pismo było monopołem klasy rządzącej i znajomość pisma była prawie wyłączną jej domeną. Niemniej uproszczone pismo wzięte szeregu hieroglifów, stosując je początkowo w piśmie odręcznym a następnie w druku. Np. w piśmie starożytnym z końca epoki Czuen Ciu (770 — 481 p.n.e.) w państwach Ci i Lu uproszczono pismo znaku „li” (ceremonia) z 18 kresków do 6. Napisy na pomnikach kamiennych z epoki dynastii Wei i Tsin oraz dynastii Południowych i Północnych (III — IV w.) wykonane zostały pismem uproszczonym. Spotyka się je często w okresie po dynastii Tang w drukowanych opowiadaniach ludowych, pieśniach i powieściach z czasów dynastii Sung, Juan i Uing. Niektóre z uproszczonych hieroglifów mają już ponad tysiącletnią tradycję.

Jednakże próby przejścia na alfabet fonetyczny zaczynają się dopiero w ostatnich sześćdziesięciu latach. W okresie tym uczeni chiń-

scy sporządzili kilkadziesiąt projektów alfabetu fonetycznego. W roku 1894 filolog Lu Han-dzan opracował taki alfabet stosując litery łacińskie. Inny alfabet fonetyczny opracowują w r. 1900 uczeni Wan Czao i Lao Nai-si. Zaczęto go rozpowszechniać. wkrótce jednak został zakazany przez rząd panującej dynastii mandzurskiej.

Ciekawym wydarzeniem była konferencja w sprawie unifikacji języka zwolana w r. 1913 przez ówczesne ministerstwo oświaty rządu pekińskiego. Rozpatrzono i zatwierdzono do użytku alfabet czu-nin-dzymu. Składał się z 40 znaków i służył do transkrypcji hieroglifów w podręcznikach szkolnych, co miało ułatwić uczenie się. Alfabet opublikowany w r. 1918, w piętnaście lat później prawie zupełnie znikł ze stronice książkowych. Dopiero propagandysta Chińskiej Armii Ludowo - Wyzwolenczej Ci Cien-hua wykorzystuje w r. 1951 alfabet czu-nindzymu do nauki alfabetów, osiągając poważne wyniki. Z dalszych prób wprowadzania alfabetu fonetycznego należy wspomnieć Gwo in Tzyhmun opracowany w r. 1925 — opublikowany w trzy lata później przez rząd, w ogóle nie znalazł praktycznego zastosowania.

W r. 1928 pisarz Cü Ciu-podziałał oświatowy Wu Ji-dzan wspólnie z radzieckimi sinologami W. A. Aleksiejewem i A. A. Dragunowem opracowali nowy alfabet łaciński, który przez szereg lat używany był przez Chińczyków mieszkających na radzieckim Dalekim Wschodzie. Był on szeroko propagowany w Chinach, zwłaszcza w wyzwolonym rejonie

pogranicznym Szensi — Kansu-Nig-sia. W ciągu 20 lat wydano tym alfabetem wiele książek, broszur i czasopism.

Oczywiście nie mogło się udać wprowadzenie alfabetu łacińskiego w miejsce hieroglifów mających kilkutyścioletnią tradycję, w kraju mnóstwa bardzo różniących się dialektów, przy czym był to okres wojny domowej i jednocześnie wojny z Japonią.

Dopiero w drugim roku istnienia Chińskiej Republiki Ludowej, w maju 1951 r. powołano przy ministerstwie oświaty „Biuro organizacyjne komitetu badań zagadnienia reformy pisma chińskiego”. Jeszcze przed założeniem Komitetu Biuro przeprowadziło pracę przygotowawczą w zakresie uporządkowania znaków uproszczonych. Wybrano 2000 najczęściej używanych znaków, które stały się podstawowym zapasem hieroglifów w podręcznikach dla nauczania alfabetów.

W lutym 1952 r. powstał Komitet do badań zagadnienia reformy pisma chińskiego, który się zajął uporządkowaniem hieroglifów i przygotowaniem projektu znaków uproszczonych do powszechnego użytku oraz badaniem możliwości przejścia na alfabet fonetyczny i opracowaniem jego projektu.

W dwa lata później Komitet ten przeksztaltował się w Komitet do Spraw Reformy Pisma Chińskiego, który przystąpił do realizacji reformy. W styczniu br. Komitet opublikował „Projekt uproszczenia pisma znaków chińskich”, oddając go do publicznej dyskusji. Jest to pierwszy etap reformy, który ma na celu — aż do wprowadzenia alfabetu fonetycznego — zmniejszenie trudności w nauce pisanja i czytania i tym samym podniesienie poziomu kulturalnego ogółu ludności.

Projekt składa się z trzech części. Pierwsza to zastąpienie pismem 798 często używanych hieroglifów znakami uproszczonymi. Uproszczone znaki nie są nowymi, wymyślonymi hieroglifami. Były one stosowane od wielu setek lat szczególnie w piśmie odręcznym. Zostały tylko wybrane i uporządkowane.

W drugiej części projekt przewi-

(Dokończenie na str. 4)

Przylactom radzieckim
poświęcam

Nigdy nie wierzyłam, że istnieje miłość od pierwszego wejrzenia. Zdawało mi się, że tak bywa tylko w sentymentalnych powieściach. Ale tego wieczoru, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, zrozumiałam, że kocham go i zawsze kochać będę.

Poznali się w ów piękny wieczór czerwcowy gdy w Tatarskiej Szkole Średniej we wsi Kirgiz Mijaki, uroczyste rozdawano matury.

Duża sala gimnastyczna, pięknie udekorowana zielenią i wstęgami, jaryzła się z daleką szeregiem roziskrzonych okien. Uczniów, uczennic i zaproszonych gości zebrano się wiele. Toteż gmach szkolny zarządził od głośnych oklasków, kiedy dyrektor Słotanow zaprosił do prezydium absolwentkę szkoły, przewodniczącą nauki, komсомolkę Lale Satyjewą. Lala, cała w pasach i ślicznych uśmiechach, zasiadła za stołem pokrytym czerwonym sukniem i zastawionym kwiatami, a dyrektor z kolei zaprosił do prezydium nowego „wojenruka”¹⁾ Włodzimierza Bondarenkę.

Tym razem oklaski były o wiele głośniejsze i mniej pewne... Nikt tu jeszcze nie znał Bondarenkę, nikt nie darzył go sympatią i zaufaniem. Przecież niedawno i dopiero przed kilkoma dniami przyszedł po raz pierwszy do szkoły, by przedstawić dyrektorowi swą nominację na kierownika zajęć wojskowych. Toteż gdy szedł przez salę, wysoki, szczupły, z lekko pochyloną jasną głową, wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Mundur nosił wojskowy, ale bez żadnych dystynkcji, jedynie z wąskimi paseczkami orderowych wstążeczek nad kieszenią. Przy stole prezydiatnym przywitał się, podając każdemu lewą ręką i dopiero teraz zauważyłam, że prawa zwisa mu nieruchomo.

Lala i Bondarenko siedzieli obok siebie przez całą uroczystą część wieczoru, ale nie zauważyłam, żeby powiedzieli do siebie chociaż słowo.

Lala, zazwyczaj taka rozmowna i wesół, milczała bawiąc się swoimi długimi, ciężkimi warkoczami, które spływały z obu stron jej głębie przyczesanej, ciemnej główki. Nowy „wojenruk” nie odzywał się także i zdawał się nie patrzeć na nikogo, choć jego jasna, kształtna postać przyciągała uwagę wszystkich.

A kiedy na zakończenie uroczystej części wieczoru poprosił o głos i — pozdrowiwszy naszych komсомolców, którzy właśnie dzisiaj żegnali szkolne mury — opowiedział o tym, jak walczył na froncie ich koledy-komsomolcy i jakich dokonywał bohaterkich czynów, oklaskiwano go już gorąco i serdecznie.

Mówił cicho, ale głos miał głęboki, o ciepłym i pięknym brzmieniu, a temu, co mówił umiał nadać wiele wewnętrznej treści. Zebrani słuchali go z uwagą i w skupieniu.

Spojrzałam na Lale: siedziała z rozchylenymi jak u dziecka wargami, z wyrazem takiego przejścia na ślicznej twarzy, że mimo woli uśmiechnęłam się do niej. W odpowiedzi mocno uściśnęła mi rękę i znów zwróciła swe promienne, skośne oczy w stronę mówcy. Ale kiedy skończył i usiadł obok niej, milczała nadal, nieśmielona i cicha. Jednakże, gdy zaczęły się tańce, znowu ujrzałam ich razem. Stanowili piękną parę. Nowy wojenruk, choć prawą ręką miał bezwładną, prowadził tancerkę lekko i pewnie. Pochylał przy tym jasną głowę i uśmiechał się skąpo, ilekroć Lala podnosiła ku niemu swe ciemne, skośne oczy, od których, jak i od radosnych doleczków na policzkach i podbródku, bił promienny blask młodości i szczęścia.

Siedziałam potem w kacie sali otoczona gromadką dziewcząt i chłopców. Przez przełaz kilku lat, od chwili, gdy stanęłam na tej podurskiej ziemi, dokąd zawtała mnie zawierucha wojenna, opiekowałam się ich klasą, a oni w zamian otaczali mnie wdzięczną sympatią i przychylną pomocą. Iż to raz Roza Mamajewa przynosiła mi wody snod strömego urwiska, a Rimma Nasrowa cierpliwie uczyła rozpaść ogień w tatarskim piecu! Jakżeż często zwozili i rabali mi drzewo Sasza Konikow i Jamil Habibullin!

Powołani do wojska żegnali się dzisiaj ze mną, ze szkoła, z latami beztroskiej młodości, którą tak brutalnie oberwała wojna...

Przetańczono już stare tańce tatarskie, zarówno te jednostajne, pod których muzykę, trzymając się za ręce, spokojnie suna pary, jak i ów żywy, pełen ognia taniec, kiedy to, onaruszając ręce na ramionach sasiadów, tancerze tworzą koło wirujące w zawrotnym tempie pod gorącą tonv muzyki.

Orkiestra zagrała walca. Na środku sali pozostało teraz tylko kilka tańczących par. Lala i Bondarenko znaleźli się niemal w samym centrum szerokiego koła. Kilkakrotnie przemknęli obok naszej grunki, ale Lala nie patrzyła wcale w tę stronę, a jej radosne uśmiechy nie były przeznaczone dla nikogo spośród nas.

Pierwsza zauważyła to Zoja Kabiszewa.

— Nasi jutro wyjeżdżają. I Jamil iedzie. A ona się bawi, jakby już było po wojnie — powiedziała z przekasem.

Dziewczeta i chłopcy zdawali się dotknęci tym, że Lala nie z nimi

spędza ich ostatni szkolny wieczór, toteż przytaknęli Zoi. Jedynie Jamil, który najbardziej przyjaźnił się z Lalą, nie odezwał się wcale.

Wyszliśmy z zabawy wszyscy razem, ale do domu odprowadzali mnie we dwoje — Lala z Jamilem. Lala szła przodem, rozbawiona, rozgrzana tańcem, rozmarzona muzyką. Jamil szedł ze mną, poważny i milczący. Widziałam, że zachowanie Lali dotknęło go boleśnie i usiłowałam prowadzić z nim rozmowę, ale odpowiadał tak niedorzecznie, jakby zupełnie nie słyszał, co się do niego mówi.

Przed moim domem podał rękę nie tylko mnie, ale i Lali.

— Husz bu! Zegnaj! — uśmiechnął się samymi wargami. — Jutro wyjeżdżam, więc chciałem cię prosić...

Spojrzałam na Lale — rozbawienie zgasiło w jej twarzy, jakby je kto zdumuchał gwałtownie, nagły rumieniec ciemną łuną wypłynął na śniade policzki, w ciemnych, skośnych oczach zaświeciły łzy: przyjaźnił się przecież tyle lat, a ona...

— Och, Jamil! — powiedziała szybko, wyciągając do chłopca obie ręce. — Och, Jamil! Jaka ja jestem podła! Wybacz mi, zapominałam!

Stali tak chwilę, trzymając się za ręce.

— Lалу! — poprosił Jamil cicho. — Pomyśl o mnie czasem. Pomyślisz?

Skinęła głową, a on tak mocno ścisnął jej rękę, że aż syknęła.

— Husz bu! — krzyknął i przeskoczywszy parkan, pod którym stali, zniknął w ciemności.

*

Nowy „wojenruk”, Włodzimierz Bondarenko, szybko zyskał sobie popularność. Opanowany i stanowczy, był bardzo lubiany przez chłopców i adorowany przez dziewczęta.

Nie wiadomo skąd, ale wszyscy wiedzieli, że stracił na krwawym szlaku wojny żonę i dzieci, że po dziś dzień boleje nad ich utratą i że na własne żądanie został przeniesiony do Baskirii ze słonecznej Ukrainy — zbyt mu było ciężko przebywać w ojcystych stronach. Nie dziwiły więc nikogo ani głębokie brzozy w kącikach ust, rzucające surowy cień na jego młodą jeszcze twarz, ani uśmiech skąpy, niechętnie i jakby z trudem odmykający wargi o twardym, choć pięknym rysunku. Zauważyłam jednak, że kiedy zwracał się do Lali, ta surowość jakby miękła, a uśmiech przestawał być taki skąpy i trudny.

Lala nadal odwiedzała mnie często, ale zapanowała teraz między nami jakaś dziwna zmowa milczenia: Lala nigdy nie wspominała o Włodzimierzu Bondarence, a ja nie pytałam ją o nic.

Rozmowę o „wojenruku” rozpoczęła niespodziewanie matka Lali, Satyjewa ap²⁾, kobieta jeszcze młoda i ładna Lala odziedziczyła po matce doleczki na policzkach i podbródku, piękną linię czoła i nosa oraz skośne tatarskie oczy o prostych, ale gestywnych, długich rzęsach, rzucających cień na smagłe policzki. Jednakże młodą jeszcze twarz matki postraty zmarszczki, które każdy rok straszliwej wojny rzeźbił na twarzach kobiet radzieckich, a jej lśniącej ciemne włosy przyproszyły szron przedwczesnej siwizny.

Siedziałyśmy same za stołem, na którym błyszczał mosiężny samowar. Lala poszła na zebranie komсомolu. Ach, et, jej młodszy brat, pobiegł dokądś z kolegami. W pokoju było ciepło i przytulnie. Zakośność tego domu czuło się zarówno w umeblovaniu pokoiów, jak i w obficie zastawionym stole. Matka Lali pracowała w kółchozie na ptasiej fermie i stynęła jako świetna gospodni, której krowa i kozy dawały więcej mleka, kury więcej jaj, a owce więcej wełny niż u innych. Od męża, majora, otrzymywała spore sumy, nie miała materialnych trosk i mogła spokojnie myśleć o kształceniu swych dzieci. Bardzo pragnęła, żeby Lala uczyła się dalej.

— Ojciec też sobie tego życzy. Lala jest zdolna, powinna się kształcić, dawniej marzyła o tym, a teraz...

Rozumiałam, że matka Lali chciała ode mnie dowiedzieć się czegoś o planach swej jedynaczki, ale ja nic o nich nie wiedziałam. Domyślałam się raczej. Toteż nie dziwiłam się wcale, kiedy padło nazwisko „wojenruka”.

— Co to za człowiek, ten Bondarenko? — dopytywała się matka Lali. — Nikt go tu nie zna. Może to jakiś lekkoduch? Żeby mój Hasan był w domu — on by się do wiedział. Ale ja? Co ja mogę? Do kogo się zwrócić?

Obiecałam, że pomówię z Lalą, że zapytam w „wojenkomacie”³⁾, że przyjrę się lepiej Bondarence. Zapewniałam zresztą, że wszyscy go tu chwala, że jest bardzo sympatyczny i dzielny. Ale matka Lali zdawała się niechętnie słuchać tych pochwał. A potem, kiedyśmy się już żegnali na ganku, powiedziała cicho:

*

A jednak trudno było znaleźć parę szczęśliwszą niż tych dwoje. Pobrali się zimą 1943 roku i zamieszkali u matki Lali, która, zrazu niechętna wyborowi swej jedynaczki, wkrótce całym sercem przystała na szczęście córki. Zięcia nachwylał się nie mogła.

— Posłuch u chłopców ma. Nawet Achmet nie jest już teraz taki niezdolny — zwierzała mi się, rada, że odpadła jej troska o młodszego syna. — Bez reki ojca małją⁴⁾ rozpuścił się całkiem. Bondarenkę szanuje i słucha go, a to już dla mnie wielka pociecha.

Znowu nadeszła wiosna. Był to już okres zwycięstw Armii Czerwonej, okres pierwszych salw triumfalnych, rozbrzmiewających nad Moskwą, okres pierwszych powrotów i ostatnich pożegnań.

Wrócił nagle wielokrotnie opła-

M

I

L

wyraz surowej powagi, przeglądała karty zdrowia tych chłopców, których dzisiaj zbadała; ja sprawdzałam pisemne prace egzaminacyjne, a „wojenkom” przerzucał pocztę, którą mu przed chwilą przyniósł ordynans. Wojenkom był już człowiekiem niemłodym, w randze kapitana. Głowę miał wygoloną, twarz porytą przez ospę i nos ostro zakrzywiony, co nadawało mu wyraz gniewnej zaciętości. Ale małże, okragłe, niebieskie oczki patrzyły łagodnie spód jasnych rzęs i brwi tak białych, że prawie niewidocznych na szerokiej bladej twarzy. Ruchliwy z natury, często wstawał i kręcił się po pokoju postukując protezę, co wyraźnie drażniło Annę Sergiejewną. Marszczyła wówczas swoje czarne surowe brwi i jeszcze niżej pochylała się

zagładały do pokoju promienie zachodzącego słońca i przenikał szum wiosennych wód, które z łoskotem górskich potoków płynęły kanałami po bokach wiejskich ulic.

Kapitan usiadł wreszcie przy stole nucąc jakąś wojskową piosenkę.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

NOWE WIERŚZE

Podobne gwieździe

Tak wiele na pewno razy
Spotkam się, spotkam jeszcze
Z goryczą, co źle mi radzi,
Z dręcym od gniewu powietrzem,

Z obelgą ciśniętą przez kogoś,
Kto nie ma świętego imienia;
Z nocą złego milczenia
Ponad skrzypiącą podłogą.

Zadzzwoni zegar na wieży
W nową jasność poranną.
Jak sen, co czyni mężnym,
Wszystko to będzie za mną.

I tylko — podobne gwieździe
Z którą się nie rozłączę —
Ty mnie nie opuść i nie zwieźdź,
Serce w piersi skaczące.

Wieczory

Kiedy pytam, czy jesteś spokojna —
Pytam o naszą radość.
Nasze wieczory są takie krótkie!

Oto elektryczny ślimak-galaktyka
Skłania do snu.
Liście gwiazd, liście drzewa wielkiego,
Szumnego jak burza morska
Opadają świetlnymi zygzakami.

Dziś zbierałaś pierwsze kasztany,
Zbliża się jesień.

Żrenico, szczelino niebios

Towarzysząca mewom,
Gasnąca, gdy gasnie dzień,
Żrenico, szczelino niebios,
Zbiornico barw i drzeń.

Towarzysząca fali
Przez morze, po szumny brzeg,
Z kopuły wielkiej oddali
Gdzie błękit ścina się w śnieg.

Wiodąca nas przez ziemię
Lampo prawdziwych tęcz,
Ty, co nawet milczeniem
Każdą oznajmiasz rzec.

Żrenico, niebios szczelino
Rozwarta na radość i ból,
Sporzeń ogromnych godzino
W przepływie wód i pól.

Tym, co śpiewają
w marszu...

W oczach przeloty ptasie,
Na czołe ślad po kamieniach.
Trudny jesteś, o czasie
Ludzkiego przemienienia.

Tym, co idąc śpiewają,
Nie samo śni się wesele.
Nie każdy kogo mijają
Jest pieśni ich przyjacielem.

Lecz idą jak płynie rzeka
Wśród brzegów zawilości,
Rzeka szumna i wielka
Na miarę ich miłości.

I miłość wyciąga ręce
I — naprzód, naprzód! —
Wołają lata młodzieńcze
Tym, co śpiewają w marszu.

Więźniowie Paulo Condor

Więźniowie Paulo Condor
Powoli umierali
A gdy umarli, wodą
Z mewami żeglowali.

Na północ i na zachód
Płynęli i patrzyli.
Do prowansalskich piachów
Po żegludze dobili.

Szedł więzień obok więźnia
Od portów i od morza,
Od dzungli, której nie znasz
Jak tylko nie znać można.

Francja słodka przed nimi
Otworzyła doliny,
Lecz minęli ogrody,
Nie wstąpili do winnic;

Kłombami pogardzili,
Domami z dzikim winem,
I kroku przyspieszyli
Wchodząc w miasta ruinę.

Różę ze sobą mieli
I stryczka gruby sznur.
I milcząc przystanęli
W ulicach Oradour.

Paulo Condor — obóz śmierci w południowym Wietnamie.

Matka umarła mu dawno, a żona z dziećmi zginęła podczas ewakuacji Odessy. I pokazał mi oficjalne zawiadomienie, które otrzymał jeszcze przed rokiem.

— Bondarenków jest dużo. Sama znalazłam jednego u nas, w Żytomierzu — wzruszyła znów ramionami Anna Sergiejewna.

— No tak, ale na tym papierku też było „Olga Markowna Bondarenko”. Dobrze pamiętam, że tak się nazywała jego żona — zasepił się znów kapitan i stukając protezę podszedł do telefonu, żeby zawezwać wojenruka.

Kiedy rozległo się pukanie i wraz z pytaniem „czy można” wszedł do gabinetu Bondarenko, spojrzałam na niego z zaciekawieniem. Bo chociaż z Lalą widywałam się często, tak się jakoś złożyło, że Bondarenki nie widziałam ani razu od dnia ich ślubu. Zmienił się bardzo. Znikły głębokie brzozy wzdłuż wąskich ust, a jasne włosy zdawały się lśnić niemal srebryście nad opalonym, wysokim, pięknie sklepionym czołem.

Kapitan przywitał go serdecznie.

*

Ale kapitan wyciągnął już list spod papierów i podając go Bondarence, powiedział:

— List tu przyszedł. Na twoje nazwisko. Przeczytaj, chociaż to pewnie nie do ciebie.

Chciał jeszcze coś dodać, ale zająknął się i umilkł.

O tym, co zaszło tego dnia między Lalą a Bondarenką, opowiedziała mi o wiele już później sama Lala, a także jej matka, Satyjewa ap^a, która właśnie w kuchni mieszała ciasto na chleby, kiedy jej zięć wrócił z wojenkomatu.

Lala czesała się właśnie przed lustrem, kiedy wbiegł zadyszany do ich pokoju. Zdziwiona spojrzała na męża spod czarnej fali włosów i odgarniając je z oczu zapytała wesoło:

— Co się stało? Czegoś taki rozradowany?

Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił do siebie.

— Lалу! Co za szczęście! Oni żyją! Słyszysz? Oni żyją!

— Puść, wariacie — próbowała mu się wyrwać, ale rozpuszczone włosy czeptały się guzików mężowskiej bluzy i paraliżowały jej ruchy. Nagle zamarła w jego objęciach:

— Kto? Kto żyje? — spytała, czując, że krew zbiega jej do serca, bijącego gwałtownie jak dzwon na trwogę.

A on też nagle jakby oprzytomniał i pobałdł tak, że mu aż wargi poszarzały na opalonej twarzy.

Stali jeszcze przez chwilę w objęciach, ale już zamknięci w sobie i jakby skamieniali oboje.

Lala ocknęła się pierwsza. Zgarnęła włosy i sięgnęła po list, który wciąż jeszcze trzymał w ręce.

Obracała go przez chwilę, a potem oddała nie czytając. I jakby się już wszystko stało dla niej jasne, zapytała cicho:

— I co teraz będzie?

— Co teraz będzie? — powtórzył i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle.

— Lалу! — szepnął dopiero po chwili — Lалу!

I wyciągnął zrów ku niej ręce. Tym razem nie odsunęła się, ale też i nie przywarła do niego gorąco i ufnie, jak to czyniła dotąd. Pozostała sztywna w jego ramionach. Posadził więc ją na kanapie i przysiadł obok.

Milczeli przez chwilę. Potem Lala spytała jakimś nieswoim, niskim i nagle zachrypniętym głosem:

— Cieszysz się? Bardzo?

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju w jakimś niespokojnym uniesieniu.

— Zrozum — powiedział wreszcie zatrzymawszy się przed kanapką, na której wciąż siedziała nieruchomo z rękami złożonymi na kolanach. — Zrozum — przecież żyją. A ja myślałam, że zginęli wszyscy troje...

— Ty ją kochasz — powiedziała i w jej głosie zabrzmiała nagle taka rozpacz, że odwrócił oczy i aż do krwi zagryzł wargi. Ale wnet usiadł przy niej, ogarnął ją zdrowym ramieniem i kolysząc niemal w uścisku szepnął do ucha:

— Lалу! Serdenko moje najmilsze! Detyno moja serdeczna...

Wsunęła się z jego uścisku.

— Ty ją kochasz? — powiedziała już spokojnie. — Ucieszyłeś się tak bardzo... I ani przez chwilę nie pomyślałeś, co ja... co ze mną...

Głos drgnął jej boleśnie, a on spuścił głowę i milczał. Bo jakżeż jej miał powiedzieć, że właśnie o niej pomyślał przede wszystkim, że właśnie do niej biegł, żeby podzielić się z nią swoją radością? A przecież powinien był przewidzieć, że ta jego radość jej zwiastuje ból i cierpienie... Jakżeż mógł o tym nie pomyśleć?... Czuł się teraz zupełnie bezradny, zrozpaczony, winny.

— Lалу! — powiedział. — Lалу! Musisz zrozumieć...

Spojrzała na niego swymi skośnymi wielkimi oczyma z taką żalnością, że znów wyciągnął ramiona, a ona przypadła do niego z płaczem tak bolesnym, że aż matka wyrzła z kuchni, ale niezauważona conęła się zaraz.

Przez uchylone drzwi widziałam — opowiadała mi potem Satyjewa ap^a — że ją objął zdrowym ramieniem, że ją tuli do siebie i całuje w rozwichrzone włosy... Pokłóciła się i przepraszała — pomyślałam. — Jak to młodzi! Lepiej się nie wtrącać... Wróciłam więc znów do dzieły z ciastem, ale wciąż zerkałam na tamte drzwi.

Satyjewa ap^a westchnęła i otarła brzegiem chustki swe skośne, piękne jak u córki, oczy.

Potem on wyszedł, a Lala została sama. I tak siedziała na kanapie, jak odrętwiała, a ja bałam się nawet wejść i zawałać ją na kocalcie... Tego dnia Lala nic mi nie powiedziała, a następnego ranka zjawił się u mnie w kuchni Bondarenko.

Satyjewa ap^a rozpałała właśnie ogień pod dużym tatarskim piecem, ażeby przyszykować śniadanie, kiedy drzwi od pokoju młodych odemknęły się cicho.

Spojrzałam na niego zdziwiona, że wstał tak wcześnie i nagle serce mi się ścisnęło przeczućmiem nie-

PAUSZER-KLONOWSKA

O Ś C

szczęścia. Był błąd, oczy zapadły mu tak głęboko, że wydawały się czarne. Cały jak gdyby schudł i postarzał się przez tę noc.

Zapytałam, czy chce świeżego koziego mleka, bo właśnie wydołam kozy. Kiwnął głową. Nalałam mu kubek, a on wypił po jednym tchem, jak człowiek spragniony pije wodę i siedział przycgarbiony, milczący.

— Apą — odezwał się wreszcie. — Czy Lala już coś mówiła?

Satyjewa apą zaprzeczyła ruchem głowy i przysiadła na brzegu ławki. Czula, że błędnie, przejęła nagłym niepokojem.

— Apą — ciągnął dalej, nie patrząc na nią, ale na swoją bezwładną prawą rękę, która nieruchomo leżała na stole. — Apą, nie wiem, czy mi wybaczysz, chociaż ja tu nic nie zawiniłem... — I po chwili milczenia dął znowu. — Nic tu nie jestem winien, ale... Moja żona żyje... i dziecko.

Satyjewa apą przez chwilę zbierała myśli: jaka żona, jakie dziecko? Ach, więc to tak? A jednak odetchnęła z ulgą.

— No to co? — wiedzioma instynktem matki usiłowała zachować spokój i zbagatelizować całą sprawę. — Takie wypadki zdarzają się podczas wojny i jeszcze długo będą się zdarzać. Musisz jej zaraz napisać, że tak i tak... Na dzieckołożyć będę, ale ożeniłem się po raz drugi, więc nasze drogi rozeszły się na zawsze i wszystko między nami skończone.

Podniosła na nie oczy, zmęczone i pociemniałe, i zapytał zdziwiony:

— Jak to — skończone?

— Zwyczajnie — skończone: przeprowadzisz rozwód i koniec. A dziecko możesz nawet wziąć do siebie. Będę je chowała jak własnego wnuka.

— Olga nigdy nie rozstała się z dzieckiem.

— No to będziesz jej posyłał pieniądze. Dużo. Ile zechcesz. Nawet całą swoją pensję. Lali i jej mężowi niczego nie zabraknie, póki jeszcze ja żyję na świecie — oświadczyła nagle i podniosła się z ławki wróciła do przerwanej roboty.

W pewnej chwili spojrzała na zięcia: siedział pochyłony, z takim wyrazem bólu na poszarzałej twarzy, że nagle zrozumiała — to wcale nie jest dla niego ani proste, ani łatwe.

Znowu zerwała się ze stołka, na którym usiadła. Przewróciła przy tym ceburyk i obrane kartofle rozspalały się po podłodze, a woda pociekła aż pod nogi Bondarenki.

— Słuchaj! — powiedziała gorąco. — Ja jestem matka, rozumiesz? Ja nie dam skrzywdzić mojego dziecka! Jak nie chciałam zezwolić na wasz ożenek, toś mnie zapewnił, że będę Lali żyć nie możesz, że ją kochasz i strzec będziesz jak zrenicy jedynego oka... No to właśnie teraz pokaż, żeś mówił prawdę, że jej sam nie skrzywdzisz i nie dasz skrzywdzić losowi.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale do kuchni, przeciągając się i ziewając, wszedł Achmet.

Poprosił o śniadanie. Dała więc obdwom wczorajszych placzków z zakwaszonym po tatarskim mlekiem, a kiedy wreszcie wyszli, zająrzała do córki.

Lala spała. Wtulona w poduszkę, oddychała głęboko, chwilami posapując nosem, jak małe spiakane dziecko.

— Pewnie przeplakała całą noc — pomyślała Satyjewa apą z rozczuleniem patrząc na pobladłą twarz jedynaczki. — Głupie to i młode. Ale on już nie ma dwudziestu lat. Przeprowadzi rozwód z tamtą i po krzyku. Nie pozwolę skrzywdzić Lali. Ona tu nic nie zawiniła.

Wiesć o liście niezbadanymi drogami przeniknęła natychmiast poza ściany gabinetu „wojenkomat” i wkrótce cała wieść tylko o tym mówiła snując na rozmaite domysły i przypuszczenia.

Któręś ranka, płucząc o wczesnej godzinie bieliznę u studni pod urwiskiem, ujrzałam schodzące z góry dwie kobiety z przesiłami do wiader na ramieniu. Rozprawiały o czymś głośno po tatarsku. Ząęta swoją robotą nie zwróciłam na nie uwagi i dopiero kiedy usłyszałam powtórną kilkakrotnie imiona Lali i Bondarenki podniosłam głowę i spojrzałam na kobiety. Jedna z nich, młoda i ładna Alla Kiriejewa, była żoną sekretarza szkoły, w drugiej rozpoznałam siwą i wyschniętą jak wiorek, ale jeszcze zwawą i gadałiwą matkę Jamila.

Przywitały się ze mną serdecznie i matka Jamila od razu zaczęła mówić o Lali i Bondarence.

— Ejejej — powtarzała kiwając głową w białej chustce, zwyczajem tatarskim spadającej aż na ramiona — co za nieszczęście! Satyjewa apą martwi się pewnie i rozpacza. A taka dumna była z tego zięcia. „Matur” — powiada — „Belemle” — powiada. Chwaliła się, że taki piękny, wykształcony i delikatny... No to teraz na nic nie zawinił, — Przecież on tu nic nie zawinił, ten Bondarenko.

Ale matka Jamila przerwała gwałtownie:

— Zawinił czy nie zawinił, od tego tamtej, p r a w d z i w e j (zaakcentowała to słowo) żonie nie będzie lżej. Żeby tak twój Kiriejew do ciebie nie wrócił i gdzieś w świecie z inną się związał, inaczej byś pewnie śpiewała...

Alla machnęła ręką i zaczęła napełniać wiadra, a matka Jamila postawiła swoje na kamieniach i przysiadła obok mnie, mówiła dalej:

— Mój Jamil w każdym liście pisał o Lale. Bałam mu się napisać, że za mąż wyszła, bo oni przecież mieli się ku sobie. Jużem nawet o tym mówiła z jej ojcem. A jakim gdzie widziała tę dziewczynę, to zawsze myślała, że to dla mnie kileń rośnie, to znaczy po naszymu synowa. Ja nie napisałam Jamilowi, ale ktoś ze wsi zawiadomił go o jej ślubie. Biedny mój małż! Przez kilka miesięcy nie było od niego ani słowa... Jużem myślała, że sobie co zrobił, biedaczysko...

— Jeżeli Bondarenko wróci do tej swojej pierwszej żony, jak mu przypowiadacie, to jeszcze możecie odzyskać swoją kilen — odezwiała się Alla.

— E, jużbym jej teraz nawet nie chciała. Będzie zawsze mojego Jamila porównywać z tym swoim jasnolosem Ukraińcem. Nie, niech się mój małż z inną żeni! Po co mu rozwódka?

— Młodzi teraz nie patrzą, wdowa czy rozwódka. Jamil was wcale pytać nie będzie — mruknęła Alla.

Myślałam, że stara rozgniewa się, ale tylko ciężko westchnęła i zwracając się do mnie powiedziała:

— A niech już się żeni z kim chce, byleby tylko żywy i cały wrócił do domu. Starszy zginął bez wieści, kto wie, czy go jeszcze ujrza moje stare oczy. Dwóch ich tylko miałam. Niechaj ten chociaż wróci i będzie podpora mojej starości.

— Wróci, na pewno wróci — powiedziałam. — A co do Lali, to ona tu przecież w niczym nie zawiniła...

Ale jak widać, serce matki nie mogło przebaczyć bólu, jaki Lala zadała jej synowi, gdyż stara Tarkka mruzcąc niechętnie: „A właśnie — zawinił! Zawinił!” nabrała pełne wiadra wody i poszła pod górę garbiąc pod ich ciężarem swoją drobną, wyschniętą postać. Alla szła za nią, wsmukła i prosta, tak lekko pnąc się pod górę, jakby jej wiadra były puste i nie ciążyły jej wcale.

*

W wojenkomacie też się ciągle mówiło o wojenruku.

— To ciekawe — powtarzał wojenkomat, kręjąc się po pokoju i postukując protezą — To ciekawe, na co on się zdecydował. Żeby mi pokazać fotografię tej pierwszej, to bym już wiedział, co mu poradzić — śmiał się dobroduszenie. Ale ani Anna Kiriejewa, ani ja nie podejmowałabym tych żartów.

— Tu nie im radzić nie można. Oni sami muszą — według własnego sumienia — powiedziała surowo Anna Kiriejewa.

— Miłość nie zawsze da się pogodzić z sumieniem — żywo zaprzeczył kapitan.

Anna Kiriejewa zmarszczyła swoje szerokie czarne brwi i zamyśliła się o czymś swoim i dalekim, gdyż jej spojrzenie stało się nagle nieobecne i smutne.

I dopiero po dłuższej chwili, kiedy już każde z nas wróciło do swojej roboty, powiedziała głośno, jakby odowiadając samej sobie:

— Miłość, która nie jest w zgodzie z sumieniem, nigdy nie będzie szczęśliwą miłością.

*

Nie widziałam Lali przez dłuższy czas i kiedy po miesiącu spotkałam ją na stacji kolejowej w Aksionowie uderzyła mnie zmiana, jaka w niej zaszła.

Przyjechała na stację razem z Bondarenką. Odprowadzała go. Wyjeżdżał.

Patrzyłam z daleka na ich pożegnanie i serce sciskała mi żalność. Trzymali się za ręce. Nie mówili nic, a tylko patrzyli na siebie. Nie widziałam twarzy Bondarenki, widziałam tylko jego nisko pochyloną jasną głowę, a złocisty połysk jego włosów wydawał się jeszcze jaśniejszy przy czarnym podróżnym płaszczu skórzanym. Lale widziałam wyraźnie: stała z lekko wzniesioną głową i patrzyła w oczy Bondarenki. Jakże się zmieniła, jakże spoważniała przez te dni! Jej błada twarzyczka w obramowaniu gładkich ciemnych warkoczy wydawała się szczuplejsza. Znikły wesołe doleczki na policzkach, a wargi straciły swój dawny dziecienny wyraz. W jej skośnych, pięknych czarnych oczach wzniesionych ku Bondarence, nie było ani bólu, ani rezygnacji. Był w nich tylko bezbrzeżny smutek i głęboka miłość, która tylko jednym żyje, jednego pragnie — pragnie szczęścia dla tego, kogo kocha...

Pociąg zgrnął i zagwizdał. Widziałam jak Bondarenko gwałtownie przyszywał do siebie Lale, potrzymał ją przez chwilę w mocnym uścisku, a potem odsunął od siebie, schwył swój żołnierski kufeczek.



Rys. Danuta Konwicka

rek i wskoczył do wagonu, który już sunął powoli z sapaniem i stukotem. Ale z wagonu jeszcze raz wychyliła się jego jasna głowa, a kiedy Lala, niemal biegnąc, zrównała się z oknem, ujrzałam znów rękę mężczyzny wyciągniętą ku niej.

*

Wracałam z Aksionowa razem z Lala. Siedzieliśmy na wozie zaprzężonym w dwa konie, którymi kierował Achmet, brat Lali. Chłopak był pochmurny, oczy miał zaczerwienione jak od płaczu. Nie odzywał się do nas wcale.

Lala też milczała, zamknięta w sobie i skupiona. Ale jazda trwała długo, a jej przepełnione serce zapragnęło wreszcie podzielić się z kimś swoją żalnością i bólem. Przytuliła się więc do mnie swoim dawnym pensjonarskim ruchem i zaczęła mówić szeptem przerywanym i gorącym:

— Nie mogłam inaczej... Nie mogłam patrzeć, jak on się męczy... Bo przecież on... Tamta, jego żona, jest miła i dobra... Kochali się bardzo i byli szczęśliwi... — Ale przecież i wyście się kochali — powiedziałam i mocno przytuliłam ją do siebie, czując, że drży.

— O tak! Ja wiem, że on mnie kochał... Gdybym chciała... Proponował mi — dodała ciszej — żebym z nim pojechała, że może wtedy inaczej potoczy się wszystko. Ale ja nie chciałam, nie mogłam.

Zamilkła i przez chwilę zdawała się w swoim sercu rozważać jeszcze raz tę decyzję.

— Bo mnie się zdaje — powiedziała wreszcie po dłuższym milczeniu — bo mnie się zdaje, że ja bym już z nim nie była szczęśliwa: Ani on ze mną. Nie chciałam, nie mogłam budować swego szczęścia na nieszczęściu tamtych dwojga.

Poszukała czegoś w kieszeni i podała mi arkusik papieru zapisany wyraźnym, dużym i okrągłym piśmem dziecka.

— List jego synka... — wyjaśniła. — A malonka córeczka umarła podczas ewakuacji.

Przeczytałam:

„Kochany, jedyny tatusiu! Tatusiu! Jak to dobrze, że ty żyjesz! Mamusia wciąż płacze, ale mówi, że to z radości. I wcale się nie martwi, że jedną rękę masz bezwładną. Mamusia powiada, że żebyś nawet dwóch nie miał, to też by się cieszyła. A ja to się martwię, bo mnie już nie będziesz mógł nościć na barana... Ale może i tak nie

będiesz nosił, bo ja już jestem duży, a ty już jesteś stary. Nasza Walunia umarła i bardzo nam było smutno. I bardzo mamusia płakała. I kiedy nasz statek zapalił się od bomby, to ja się bardzo bałam, ale nas uratowali i myśmy pojechali na innym statku. Ale nasze wszystkie dokumenty i rzeczy poginęły. Mamusia mówi, że teraz będzie wszystko dobrze, bo ty żyjesz. Przyjeżdż do nas, bo bardzo tęsknimy za tobą. Nie zapomnij i zaraz przyjeżdż. Bardzo ciebie kochający twój syn Igor”.

— A gdybyś i ty miała z nim dziecko? — zapytałam, a raczej pomyślałam głośno, patrząc jak Lala starannie składa karteczki i chowa ją do kieszeni.

Spojrzała na mnie zaskoczona, a potem powiedziała ze smutkiem:

— Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym z nim miała dziecko... Ale wtedy jeszcze trudniej byłoby rozwiązać to wszystko.

Dwie duże łzy spłynęły z jej oczu. Wytarła je wierzchem dłoni i znowu przytuliła się do mnie.

— Jak przeczytałam ten list, to już wiedziałam, że nie powinienam zatrzymywać go przy sobie. A ja mu było jeszcze ciężiej, jeszcze trudniej...

Milczała przez chwilę, potem znów zaczęła gorącym szeptem opowiadać mi, jaką walkę musiała stoczyć, nie tylko z własnym sercem, ale także z sercem Bondarenki i z sercem własnej swej matki.

— Mama nie pożegnała się z Włodzimierzem, a ze mną nie mówi już od tygodnia.

Słyszałam już coś o tym, że Satyjewa apą chodziła ze skargą na Bondarenkę do pierwszego sekretarza partii, towarzysza Nazaredtina. Ale dopiero od Lali dowiedziałam się szczegółów.

— Kiedy towarzysz Nazaredtin zawezwał do siebie Włodzimierza, poszłam z nim razem. Mama już tam była. I mama żądała, żeby Włodzimierz rozwiódł się z tamtą swoją żoną i został ze mną. A ja powiedziałam: „Nie, ja nie chcę. Niech jedzie do niej i do dziecka”. Mama o mało mnie nie uderzyła. Powiedziała, że jestem jeszcze głupia, że nie znam życia, że nie wiem, jak, mnie teraz ludzie wezmą na języki. Ale Bondarenko jest starszy ode mnie o dziesięć lat, więc rozumiem chyba, jakie ma wobec mnie obowiązki. A on stał ze spuszczoną głową i milczał. I ja tylko jedna wiedziałam, jak mu ciężko. Więc znowu powiedziałam:

„I tak dosyć jest teraz sierot. To dziecko nie powinno stać się ofiarą wojny. Nie powinno utracić ojca, który żyje”. Towarzysz Nazaredtin powiedział do mojej matki: „Apą, masz dzielną córkę”. I uściśnał mnie mocno. Ale mama od tego czasu nie przemówiła do mnie ani słowa.

— Matka cię kocha — powiedziała. — I dlatego...

— Ja wiem — przerwała mi Lala — kocha mnie i dlatego nie może mi wybaczyć. A ja jego kocham i dlatego...

Nie dokończyła. Przerwał jej gwałtowny ruch Achmeta, który nagle odwrócił się na koźle i lyskając w naszą stronę małymi skośnymi oczyma powiedział coś gniewnie po tatarsku.

— Achmet mówi — wyjaśniła mi Lala — że ja nie kocham Bondarenki. I mama też tak mówi.

— Żeby go kochała — powiedział Achmet po rosyjsku — to by go od siebie nie puściła. On był taki, taki...

Na próżno jednak szukał słów, ażeby określić, jaki był Bondarenko. Machnął więc tylko ręką i odwrócił się od nas.

Zdumiona tym wybuchem milczącego zazwyczaj chłopca, spojrzałam na Lale. Siedziała z opuszczonymi na kolana rękami, powieki miała przymknięte i długie rzęsy rzucały cień na poblado policzki. Zdawało mi się, że usnęła, zmęczona przecięciami, ukłóysana jazdą. Ale gdy w dali zamigotały światła w oknach mijających domostw, Lala podniosła głowę i powiedziała cicho:

— To nieprawda, że go nie kochałam. Ale czy mogłam, czy powinienam była zatrzymać go przy sobie? Czy pani na moim miejscu nie zrobiłaby tak samo?

— Nie wiem — odpowiadałam zaskoczona...

— Nie wiem — powtórzyłam po chwili raz jeszcze sobie samej, ale Lala już nie słuchała, pogrążona w swych myślach, zapatrzona przed siebie pełnymi łez oczami.

Jechaliśmy dalej w milczeniu. Wieczorne cienie kładły się wzdłuż drogi. Na niebie zapalały się pierwsze gwiazdy.

Gabriela Pauszer-Klonowska

¹⁾ Wojenruk (ros. wojenny rukowoditel) — instruktor zajęć wojskowych.
²⁾ Apą — tatarskie p a n i.
³⁾ Wojenkomat — (ros. wojenny komissariat) — komisariat wojskowy.
⁴⁾ Małaj — tatarskie c h i o p i e c.
⁵⁾ Wojenkom (ros. wojenny komisar) — komisarz wojskowy.

Książki

WILLI BREDEL „WNUKI” Przełożyła Anna Linke. Wiersze przełożył Artur Marya Swinarski. PIW, 1955, cena zł. 21,60.

„Wnuki” to ostatnia część trylogii Bredda „Krewi i znajomi”. Pierwsza jej część nosi tytuł „Ojcowie”, druga — „Synowie”. Ostatni rozdział „Wnuików” rozgrywa się 1 stycznia 1948 r. Historia rodziny Hardeckopów obejmująca trzy pokolenia kończy się. Zamyka ją autor wielką uogólniającą syntezą, refleksją Wallera: „Dalekosmy zajechali”. Walter przypomniał sobie, że wówczas na wznieśieniu pod Paryżem, pomyślał mieniał tymi samymi słowami. „To smutne, dziadku. Twój synowie, Otto i Emil stali się naprawdźwrotnymi diobno-mieszczanami. Twój syn Ludwik został na starość stróżem nocnym. Ale syn twego syna, twój wnuk Herbert, podczas wojny wyprowadził na wolność jeńców — socjalistów i zbrał się z nimi. Walczył wraz z Armią Czerwoną, by uwolnić od wrogów ludu naród radziecki oraz własną ojczyznę. A twój prawnuk studiuje w Moskwie, stolicy pierwszego państwa socjalistycznego. W jednej części Niemiec my, robotnicy, zjednoczyliśmy się po długiej walce bratobójczej i wspólnie budujemy państwo robotniczo-chłopskie. Nic nie było daremne. Żadne rozczarowanie, żadna klęska, żadna ofiara. Nie wszystko, co się działo — działo się dobrze. Ale nie poszło na marne. Ojciec się wreszcie. Twoja sprawa Johannes Hardeckopf, idzie naprzód i zwycięża”.

FIODOR DOSTOJEWSKI „BIEDNI LUDZIE”. Tłumaczył Andrzej Stawar. PIW 1955, cena zł. 5,10.

„Biedni ludzie” są powieścią listową. Jej główni bohaterowie — kore nudenti to 47-letni Makary Aleksiejewicz Diewuszkini — urzędnik najniższej kategorii i młoda, chore na gruźlicę dziewczyna. Z relacji tych dwójki poznaje czytelnik także bogatą galerię ludzi z ich środowiska, naszkicowanych z wielką przenikliwością psychologiczną i znanstwem społeczeństwa rosyjskiego. Już w tej pierwszej powieści widać Dostojewskiego — wielkiego pisarza, który nie tylko z niezawodnym instynktem prawdziwego artysty pokonał wszystkie niebezpieczeństwa trudnej konwencji kompozycyjnej, ale będąc o krok od melodramatu ukazał prawdziwy, tkwiący głęboko korzeniami w ówczesnym porządku społecznym dramat dwojga szlachetnych, bezbronných ludzi.

Bielński po odczytaniu rękopisu „Biednych ludzi” powiedział do Dostojewskiego: „Pan mógł to napisać tylko jako artysta, odczuwając to bezpośrednio, ale czy pan przemyslał tę straszna prawdę, którą pan nam pokazał? Dotknął pan istoty rzeczy, ukazał pan najwłaśniejsze. My, publicyści i krytycy, tylko rozmyślamy, staramy się to wyjaśnić słowami, a pan, artysta, jednym rysem, za jednym zamachem ukazuje w obrazie istotę rzeczy tak, że tego można dotknąć ręką, że najmniej zastanawiającemu się czytelnikowi wszystko nagle staje się zrozumiałe. Oto tajemnica sztuki, oto prawda w sztuce!”

TADEUSZ ZELEŃSKI - BOY „DZIEWICE KONSYSTORSKIE” PIW 1955, cena zł. 1,70.

Dyskusja na temat reformy prawa małżeńskiego toczyła się na dwa lata przed ukazaniem się pierwszego felietonu. Boya z cyklu „Dziewice konsystorskie”, felietonu, który nosił tytuł „Biedne prababki”. Geneza „Dziewic” — pisze sam Boy — wiąże się bezpośrednio ze sztuką Katarzyna „Kundratura kola”. „Okazało się, że sztuka osnuła też dookoła spraw małżeńskich. Dwie „zarejestrowane” pary okazują się niedobre, sympatie czworga młodych zamieszkałych w jednym pokoju — ciągną ku sobie na krzyż... Naturalnym refleksem myśli moja zwróciła się ku temu, w czym my żyjemy, jak się u nas przedstawiają te sprawy, uczulone wyraźnie, że coś tu jest absolutnie nie w porządku. Listy, które zaczęłam otrzymywać, utwierdziły mnie w tym przekonaniu. Takie jest istotne pochodzenie moich felietonów, które są niejako obszerna „niedyskretna teatralna” na marginesie premiery w Domu Kolejorzy”.

Felietony, w których Boy z całą celnością pióra świetnego publicysty atakował kler, pokazując konsekwencje i niebezpieczeństwa kościelnej zasady nierozdzielności związków małżeńskich, domagając się ustawy o ślubach cywilnych — ściągający na autora gromy i ataki prasy katolickiej, Felietony z „Kuriera Porannego” poruszyły całe społeczeństwo. Świadczy o tym chociażby pocztą, jaką otrzymywał Boy w tym czasie — ogromna góra listów od czytelników solżaryzujących się z jego wystąpieniami. „Dziewice konsystorskie” ukazały się w wydaniu książkowym w dwa tygodnie po opublikowaniu w prasie ostatniego felietonu. Interesująca ciekawostka dla naszych wydawców!

„Ta cała furia prasy reakcyjnej — pisze Barbara Winkiel we wstępie do PIW-owskiego wydania „Dziewic”, w którym przytacza fragment z toczących się podówczas polemik — to najlżejszy dowód, jak celnym, dobrze wymierzonym pociskiem w „Opatry Świętej Trójcy” były „Dziewice konsystorskie”.

K. Naśl.

HENRYK BEREZA

Blaski i cienie



Aleksander Scibor-Rylski: *Cień*. Warszawa 1955. „Iskry”, str. 251.

Człowiek jest to substancja, której istotę stanowi działalność produkcyjna — brzmiałyby zapewne sformułowania na użytek autorów powieści produkcyjnych Kartezjuszowska definicja człowieka. Parafraza ta, niezupełnie przecież pozbawiona racji, byłaby wyrazem znamiennej redukcji problematyki humanistycznej w literaturze, która w prymitywny i naiwny sposób usiłowała wypowiadać racje socjalistycznego humanizmu. Z literatury tej przynajmniej dwie pozycje zostaną dla historii literatury reprezentatywnym dokumentem literackim. Obok „Lewantów” A. Brauna będzie nią z pewnością „Węgiel” Scibora-Rylskiego.

Debiutowi Scibora-Rylskiego przypada więc w udziale literacki wielki los. Analiza „Węgla” będzie niewątpliwie stanowić punkt wyjścia wielu generalnych ocen nowatorstwa i wykrzywień tej literatury. Swoją reprezentatywność zawdzięcza „Węgiel” szczególnie ukladom właściwości literackich. Programowa produktywność, widoczna w tytule, temacie, fabule, nolens volens w filozoficznej koncepcji człowieka i w charakterze tendencji moralistycznych, jest u Scibora-Rylskiego realizowana najkonsekwentniej i nie bez efektu artystycznego. „Węgiel” jest bowiem nie tylko produktem metody, ale i szczególnym owocem talentu pisarskiego. Warto chyba zastanowić się nad charakterem tego talentu — nowa książka Scibora-Rylskiego, zbiór opowiadań „Cień” także do tego zobowiązuje — bo w „Węglu” widziano najczęściej tylko dokument metody, a nie dokument indywidualnego pisarstwa.

Czytając „Węgiel” na świeżo, nie wiele myślałem o procesach rozwojowych literatury polskiej, ale za to bardzo dużo o wspólnych z autorem studiach polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim akurat przed pięcioma laty. Jakże uroczą lekturą może być „Węgiel”, gdy się pamięta autora z tamtego czasu. Przypominałem sobie nawet, jak Scibor prosił profesora Żółkiewskiego o pozwolenie palenia fajki (górnicy ze Śląska) przy wygłaszaniu referatu o tradycjach chłopskich ruchów rewolucyjnych przed rokiem 1830. Na kartach „Węgla” odżył styl tamtego nie tyle referatu co gawędy literackiej, wygaszonej z imponującą swobodą narracyjną, pewnością siebie sędziwego badacza historii i z ledwie ukrywanym zachwytem dla własnych umiejętności. Prosty i wspaniały, zrozumiały i łatwy do udoskonalenia, ufny i bliski zupełnej szczerości jest świat w „Węglu”. Tylko po wyzwoleniu się od okupacyjnych koszmarów — recytowałem na wieczorze poetyckim „Paranoi” na Oczkach w roku 1947 groteskowe partyzanckie wiersze Scibora — można było tak intensywnie i tak całkowicie cieszyć się odkrywaniem racjonalności świata. W opanowanym na pozór mechanizmie ludzkich spraw wystarczy kilka przemysłanych posunięć, a robotnicy staną się dyrektarami, bumelanci zdołają dyplomować przodowników pracy, bezdomni posiadają nowoczesne mieszkania, a wrogowie odsuną się w nieznane. Naiwności obrazu świata, która u sędziwych autorów „produkcyjniaków” łatwo wzbudza przykre podejrzenia, ma w „Węglu” wszelkie walory artystycznego autentyku i dlatego wystarczy tylko właściwa perspektywa czytelnika a dydaktyzm, uproszczenia i naiwności nabierają w tej powieści swoistych uroków.

Nie chodzi mi bynajmniej o żaden wykręt krytyczny dla udowodnienia, że „Węgiel” jest w pewnej mierze dziełem sztuki, gdy tymczasem szereg podobnych powieści nie ze sztuką nie ma wspólnego. Tak jest naprawdę! Świat w „Węglu” jest widziany naiwnie, ale jest widziany oczyma artysty, nie jest zaś ilustracją zlepkim różnorodnych elementów raz od Sasa raz od Lasa. „Węgiel” nie jest ilustracją, nie jest sklecony za biurkiem schematysty. Autor wprowadza za zastony młodzieńczej naiwności, ale z drapieżną łapczywością podpatruje, podśledzuje, usiłuje przeniknąć sercem i umysłem egzotywny dla siebie świat górniczy. Scibor widzi i słyszy górników świetnie, rozumie jednak w najlepszym razie jak mechaniczny materialista.

Znakomitym autokomentarzem do „Węgla” może być doskonale opowiadanie „Wieczór u Hanyśa Debiczka”, najlepsza pozycja w tomie „Cień”. Narrator opowiadania, pisanego w roku 1952, z autorką wspomina siebie z roku 1947, gdy

z poczuciem stolecznej i dziennikarskiej wyższości a jednocześnie z rozbijającą młodzieńczą nieświadomością spoglądał na Pszrowskiego, nie rozumiejąc jego doświadczeń i postawy wobec świata. Poklepujący po ramieniu i pouczający Migoniów, Kokotów i innych zadufany autor „Węgla” i skromny, a rzetelny w swoich obserwacjach narrator „Wieczoru u Hanyśa Debiczka”, to jakże różni świat doświadczeniem ludzi. Dojrzałość widzenia spraw górniczego świata w tym opowiadaniu to zarazem weryfikacja tamtej nie-dojrzałości. Zagubiony w kręgu trudnych spraw i w tym zagubieniu głęboko tragiczny Hanyś Debiczek, to o ileż dojrzałszy od Mielimaków, Dąbrowskich i Migoniów kreacja bohatera. Skomplikowany i nie łatwy do opanowania jest mechanizm wewnętrzny tego człowieka. Autor widzi to skomplikowanie i doбира sobie coraz bogatszy komplet precyzyjnych narzędzi, które w „Węglu” zastępuje jednym tylko wytrychem socjologizmu.

Świadectwem procesu edukacji autorskiej jest scenariusz filmowy „Sprawa Szymka Bielasa” (1952). W scenariuszu tym zbyt wiele jednak naiwnego zdziwienia, że świat nie jest taki, jakim by się chciało go widzieć, by można go było uznać za udatę przedsięwzięcie pisarskie. Zdziwienie wobec zatrważającej niezwykłości wszelkich ludzkich spraw było wprawdzie najzwyklejszym elementem artystycznego widzenia świata u Nałkowskiej, ale było to zdziwienie przenikliwego filozofa, którego zastanawiały wszelkie formy bytu. Scibor-Rylski dziwi się, że w hotelu robotniczym „różnie się” w karty i kradnie, i że życie w wymyślnym Piaskowie a rzeczywistym Ursusie nie przypominają w niczym sielanki. Te odkrycia Sciborowe były tylko odkryciami dla niego samego i stąd niewielkie ich znaczenie, chociaż podtrzymywane się w nich naturalistycznej deformacji. No cóż, łatwiej wyrunąć na księżyc niż z księżycza sprowadzić kogós na ziemię. Dla filomowców, kręcących nosem nad scenariuszem, widziałym istotniejsze usprawiedliwienie. „Sprawa Szymka Bielasa” jest wyjątkowo, jak na Scibora-Rylskiego, niedramatyczna.

Więcej tu ekspozycji do dramatu niż samego dramatu. Trzy czwarte scenariusza to przygotowanie sytuacji, w której Szymek Bielaś stanie przed problemem swoistego być albo nie być, odkryć przestępstwa swoje i innych, czy nie odkryć. Tu dopiero powinien się zaczynać dramat. Poprzedzają go jednak rozliczne opisowe sytuacje, informujące, co Szymek robił w 1945 roku (tak zwany „Prolog”), jak przybył do Piaskowa, jaką sytuację zastał w hotelu robotniczym, jakie stosunki panowały w piaskowskich zakładach produkujących traktory. Słabości całego scenariusza nie może wyrównać świetność niektórych sytuacji końcowych, a zwłaszcza tej, gdy Szymek zdecydował się zdemaskować siebie i sabotażystę, nie może znaleźć nikogo, komu mógłby w pełni zaufać — sabotażysta cieszy się bowiem zaufaniem tych, którym Szymek gotów był powierzyć swą tajemnicę (kapitałna scena w podciagu str. 110).

W nowszej prozie (przed wszystkim w opowieści „Iwan” — 1953 i „Cień” — 1954), dokonuje Scibor-Rylski zgrabnego uniku przed zasadniczymi trudnościami literatury o współczesności. Nie kusi go już analiza współczesnych konfliktów, mniej mu dopieka młodzieńcza pasja poznawcza. W obydwu opowieściach widać wyraźną stawkę na kunstowość i dojrzałość formalną prozy. Scibor-Rylski postanowił jak gdyby najefektowniej sprzedać najmniejszą cechę swego talentu pisarskiego — sieniawiczkowską (na razie w rodzaju, a nie jakości) barwność narracji. Kunstowna kompozycja ramowa obejmuje w obydwu utworach sprzecznię wewnętrzną tryptyk opowieściowy, zbudowany umiejętnie według najlepszych wzorów pisarstwa sensoryjnego. Zwłaszcza „Cień” może zaspokoić wymagania najwybredniejszych a tak licznych u nas poszukiwaczy sensoryjności. Mógłby z tej opowieści powstać wreszcie interesujący film sensoryjny, gdyby się do niej zabrał reżyser z prawdziwego zdarzenia (Już powstaje — przyp. red.). Scibor opanował bowiem w pełni nie tyle jaką sztukę takiego dawkania prawdy o związkach między przedstawianymi faktami, żeby czy-

telnik odczuwał ustawicznie wzrastającą potrzebę wykrywania tych związków.

Rzecz jasna, autor opowieści sensoryjnej nie ma możliwości tworzenia analizy charakteru tych związków. Związki te muszą być jak najbardziej rzeczywiste, zgodne z najpowszejszym i powszechnie obowiązującym widzeniem rzeczy. Tylko wtedy można liczyć na współudział czytelnika w wykrywaniu związków między faktami, gdy się zakłada, że ich charakter nie podlega wątpliwości. Sztuka odkrywcza ma zawsze na celu pogłębienie widzenia powiązań wzajemnych w świecie rzeczy i zjawisk. Z tych ambicji zdaje się rezygnować Scibor-Rylski. Zawartość intelektualną „Cienia” można by zawrzeć w ewangelicznej formule, zastosowanej do wrogów Polski Ludowej — „Po czynach ich, poznacie ich”. W opowieści „Iwan” chodzi o zgrabne wyłożenie pochwały radzieckiego człowieka. Przy pomocy techniki prozy sensoryjnej autor chce powiedzieć, że człowiek radziecki pracuje dla wspólnego dobra, jest zdolny do najwyższego bohaterstwa i poświęcenia. Prawdy te, głoszone w dziesiątkach utworów w niemilosierne nudny sposób, zostały w „Iwanie” wyrażone z wdziękiem i pomysłowością. Scibor świetnie opowiada, zaskakuje czytelnika niespodziankami, sypie celnymi spostrzeżeniami objaśniającymi, nie stroni od niezwykłości sytuacyjnych jak chociażby w historii o wyzwoleniu więźniów spalonych przez Niemców klasztoru. Niesposób nie dostrzec rozlicznych uroków sztuki Scibora, ale jednocześnie niesposób nie odczuć, że efektowna fasada literacka ma tu markować skromność wewnętrzną architektury. Wykręć by się dało w ostatnich głoszone u Scibora-Rylskiego jakiś lek przed ryzykowaniem samodzielnych uogólnień, a nawet lek przed czerpaniem ze źródeł empirycznej wiedzy o świecie. Więcej w jego nowych opowiadaniach formalnej „konceptyjności” niż obserwacji życia i analizy jego konfliktów. Nieklamany talent pisarski Scibora-Rylskiego winien chyba w pełniejszej sposób służyć ciężkim sprawom naszego czasu.

Henryk Berez

MAREK ZAKRZEWSKI

Dumas „na nowo”

Aleksander Dumas: Trzej Muskietierowie. Przekład Joanna Guze, ilustrował Jerzy Skarżyński. „Iskry”, 1955, str. 527, cena zł 33,30.

Kiedy były kopista księcia Orleńskiego ukończył w r. 1844 pisanie romansu „Les Trois Mousquetaires”, zdobył już szeroką sławę jako autor dramatów, komedii, nowel, felietonów, obrazków obyczajowych i opowiadań podróżniczych. Jego dzieła — romantyczny wyraz epoki wrzających namiętności — znane były daleko poza granicami Francji. Aleksander Dumas, syn Aleksandra — generała i ojciec Aleksandra — powieściopisarza i dramaturga, acz już mniejszej rangi, okazał się fabrykantem na wielką skalę: trudno dziś zliczyć ilość napisanych przez niego utworów. Złożyli wi twierdzą uparcie, iż nie była to fabryczka jednoosobowa.

Z dzieł pisanych prozą, tych co zapewniły mu przywiązanie wielu pokoleń młodości od lat piętnastu do stu na całym świecie, ukazywały się kolejno po „Trzech Muskietierach”: „Dwadzieścia lat później”, „Wicehrabia de Bragelonne”, „Hrabia Monte Christo”, „Naszynik Królowej” i... Wylizać by można jeszcze długo.

Trzymam w ręku nowy egzemplarz „Trzech Muskietierów”, oglądam go na wszystkie strony i przeżywam chwile wzruszeń. Ileż z tą lekturą łączy się wspomnień!

Ale niestety od wspomnień trzeba przejść do twardej rzeczywistości, sięgającej roku 1846, wtedy to już bowiem (niewiarogodne, choć prawdziwe!) ukazał się pierwszy przekład polski. Niechże nad tym poduma CUW i nasi wydawcy. Tak jest, proszę państwa: w dwa lata! Ano, wtedy nie było prócz tłumacza falangi amatorów do zęcania się nad tekstem.

Po tym pierwszym przekładzie popróbowali sił inni tłumacze — Łukaszkowski, Sierosławski, obecnie zaś Joanna Guze. Trudno nawet powiedzieć, ilu wydań polskich doczekało się „Trzech Muskietierów” i następne dzieła Dumasa.

Bardzo to chwalebna — w zasadzie — inicjatywa Wydawnictwa, które postanowiło zrezygnować ze złych — w wielu wypadkach — przekładów starych, nieartystycznych, niechlujnych, tłumaczonych na kolanie, pokiereszowanych przez niesolidnych „przekładców” i poskraczanych często do tak zwanych „strawnych” wymiarów. Na półkach księgarskich pokazuje się więc „nowy” London, „nowy” Conan-Doyle, „nowy” Cooper, Stevenson i wreszcie Dumas. „Odnawianie” literatury przekładowej jest czasami pochopne, często zbyt wolne, ale to należy przyjąć z wyrozumiałością, gdyż tłumaczów wladających piękną polszczyzną jest jeszcze zbyt mało.

Ponieważ już tyle osób używało sobie na „Trzech Muskietierach” w „toku „produkcji”, jak mówią główni księgowi, pozwolę sobie na to i ja, a to w tym celu, by przy tym konkretnym wypadku obliczyć, co zyskaliśmy czy straciliśmy na nowym przekładzie.

Zacznę od oczywistej dla mnie straty: w Bibliotece Narodowej w Warszawie, pod numerem 194.452 znajduje się francuskie wydanie „Trzech Muskietierów” z roku 1846, wyposażone w piękne ilustracje, bez

wątplenia w pełni odpowiadające intencjom Dumasa i w porozumieniu z nim opracowane. Tak troszczymy się o klimat oryginału dzieła przy dokonywaniu przekładu, a tu zapomniano o oczywistej rzeczy, która ten klimat mogłaby uszczęśliwić. Tym bardziej, będą szczerzy, ilustracje Jerzego Skarżyńskiego nie podobają mi się: są pełne manieri, statyczne, bliższe współczesnym „komiksom” w ujęciu, niż epoce, którą odzwierciedlają. Ale to sprawa gustu, którego może mam niewiele. W każdym razie podobają mi się „czytelnikowskie wydania Dickensa z ilustracjami z epoki”.

Tekst! Przetłumaczyć czterdzieści czterech arkuszy wydawniczych — to osiągnięcie samo przez się. Trzeba wielkiego wysiłku woli, można po drodze zalać się psychicznie dziesięć razy. Nawet przy wielkiej miłości do tekstu, który się tłumaczy, po kilkunastu arkuszach następuje przesyty. To się odbija na tłumaczeniu. Odbiło się też na tłumaczeniu Joanny Guze. Dobrym tłumaczeniem, nie ma dwóch zdań, ale nierównym. Omal widzę w nim, jak w lustrze, odbicie stanów przemęczenia, rezygnacji, chwile „zrywania się na nowo do lotu” tłumacza. Są dialogi przetłumaczone świetnie, jednym tchem, są opisy błyskotliwe, równe oryginałowi. Ale są rozmowy niekiedy się (choć w oryginale nie ustępują one innym), są sceny bezbarwne i niezrozumiałe. Tłumacz po pewnym czasie traci spojrzenie na swoje dzieło, nie dostrzega tych różnic. Natomiast jest to okazja, a raczej była, dla rasowego redaktora. Redaktorzy również puścili takie rzeczy, jak inną treść tego samego pisma kardynała Richelieu cytowanego na stronie 371 (383) i 524, nie wyjaśnili w przypisie, przy okazji, tajemniczej zmiany daty pisma, choć nie zapomnieli o wyjaśnieniu podobnej omyłki autora przy edycji nan-tejskim.

Bardzo dobra jest koncepcja tłumacza wprowadzenia polskich ekwiwalentów imion czterech sławnych panów muskietierów — przykład właściwego czerpania z naszych tradycji przekładowych. I dobrze, że tylko na tych czterech imionach poprzestano.

Przeczytałem teraz oba tłumaczenia „Trzech Muskietierów”: Sierosławskiego i Guze. Tłumaczenie Guze jest lepsze, choć oba zaliczyłbym do jednolitej pokrewnej klasy, abstrahując naturalnie od zbyteknych skrótów u Sierosławskiego, czego zresztą mało kto z czytelników się domyśla. I z tego czytania obu przekładów wysnuwam wniosek ostateczny: zbyt wiele arcydzieł literatury romańskiej, nigdy nie tłumaczonych, czeka na przekład i będzie czekało wiele lat, gdyż dobrych tłumaczy jest mało; Joanna Guze jest bezprzebieżnie dobrą tłumaczką; tłumaczenie Sierosławskiego było do „wyreperowania”. Czy Wydawnictwo „Iskry” nie postąpiło zbyt pochopnie już teraz „odnawiając” Dumasa? Zasada odkrywania obcej literatury „na nowo” jest słuszna. Ale stosowa nie jej bez umiaru nieekonomiczne.

Tak czy inaczej mamy nowe wydanie „Trzech Muskietierów”, na które czytelnicy od dawna czekali,

Marek Zakrzewski

文字改革

(Dokończenie ze str. 3)

duje unifikację 400 hieroglifów, które mają jednakową wymowę i znaczenie a różnią się tylko sposobem pisania i ilością kresek. Stan taki wywołuje chaos sprawiając trudności przy pamięciowym opanowaniu hieroglifów. Komitet wybiera spośród nich najprostsze, reszta zaś po „wycofaniu z obiegu” zostanie tylko w słownikach.

W trzeciej części opracowuje się najprostszą i najdogodniejszą pismo zw. kursywą — szybkie odręczne pisanie hieroglifów.

禮 = 礼 — li
種 = 种 — czun
權 = 权 — cuan
體 = 体 — ti
議 = 议 — i

Znaki normalne i znaki uproszczone
Znak „li” uproszczono z 18 kresek do 6

Projekt stosowania znaków uproszczonych wzbudził wielkie zainteresowanie. Wydano specjalne tablice, które w krótkim czasie rozeszły się w ilości ponad milion egzemplarzy. Do komitetu napływały mnóstwo pism i listów z uwagami i wnioskami. Po rozpatrzeniu wniosków i uzupełnieniu przez Komitet projektu pisma znaków uproszczonych zatwierdził rząd.

Obecnie większość dzienników i czasopism pekińskich a także inne wydawnictwa stosują znaki uproszczone. Wprowadza się również zamiat pionowego układu pisma od strony prawej ku lewej i układ poziomy od lewej do prawej jak np. w języku polskim. Ma to na celu powolne przyzwyczajanie oka czytelników do przyszłej transkrypcji fonetycznej. Ta zmiana rów-

nież spotkała się z przychylnym przyjęciem w opinii publicznej.

Reforma pisma w tak olbrzymim kraju z 600-milionową ludnością nie jest zagadnieniem prostym. Nie łatwo jest zmieniać stosowane przez kilka tysięcy lat pismo, w którym uwieczniony został olbrzymi dorobek kulturalny wielkiego narodu.

Ale nie wszystkie trudności są aż tak wielkie jak się początkowo zdawało. Na przykład homonimy. Okazuje się, że wśród 30 tysięcy najczęściej używanych znaków wybranych przez Komitet — jest zaledwie 246 homonimów, przy czym znaczna ich część przy tworzeniu słów występuje w towarzystwie innych hieroglifów. Pozostałe będzie można odróżnić — tak jak w innych językach — w kontekście.

Znacznie trudniejszym problemem do rozwiązania są dialekty — kilka głównych i mnóstwo pomniejszych, ale bardzo różniących się wymową. Z czasem, z rozwojem komunikacji, gospodarki i kultury, zostaną one wyeliminowane przez tzw. język krajowy, oparty na dialekcie pekińskim. Językiem tym po-

我看到的苏联
wo kan dao de solian

我随着中国工合代表团
wo suicho Zungguo Gungxi Daibiaotuan,
到苏联去参观，很多地方看
dao solian ky canguanle xen do difang, kan-

見了很多東西，這種不能說
bianle xen do dungsí. Zheli zhi neng shuo
一点点。
jiaidianian.

Jeden z chińskich alfabetów łacińskich; nad słowami hieroglifi

sługują się Chińczycy zamieszkujący północną, północno - wschodnią, zachodnią i południowo - zachodnią część kraju, tzn. że na tych terenach można się porozumieć językiem „krajowym” Upowszechnienie języka krajowego nie obejmuje oczywiście mniejszości narodowych, mówiących odrębnymi językami o alfabetach fonetycznych, z których większość opracowały filolodzy chińscy już po wyzwoleniu.

starożytnym, którego nie rozumie nawet znaczna część inteligencji chińskiej z wyższym wykształceniem. Toteż po wprowadzeniu alfabetu fonetycznego językiem starożytnym i hieroglifami będą się zajmować specjaliści.

Tak więc nasze dzieci będą się uczyły języka chińskiego już z alfabetem fonetycznym, zostawiając piękne hieroglify filologom.

Stanisław Dembowski

ZESZYTY TEORETYCZNO-POLITYCZNE Nr 9 (16) wrzesień

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się nowy numer Zeszytów Teoretyczno-Politycznych 9 (16) wzesień 1955 r. z przekładami najnowszych artykułów z dziedziny filozofii, ekonomii, historii, budownictwa partyjnego, zagadnień międzynarodowych, opublikowanych w teoretycznych czasopiśmie ZSSR, krajowej demokracji ludowej oraz w postępowych czasopiśmie krajów kapitalistycznych.

W numerze tym znajdują się następujące artykuły:

- S. Titarlenko — Internacjonalizm socjalistyczny — Ideologia przyjaźni między narodami
- S. Nowosiłow — Rola postępu technicznego w ustroju socjalistycznym
- A. Tryonow — Największy na świecie synchrocyklotron
- L. Liberman — Rozrachunek gospodarczy, a zainteresowanie materialne robotników przemysłowych
- Jaroslav Klotac — O niektórych najbardziej rozpowszechnionych odchyleniach socjaldemokratycznych
- Z. Klusakov-Svobodowa — Przyczyny dysproporcji w rozwoju produkcji rolnej i przemysłowej
- Czen I-fan — Od grup pomocy wzajemnej do spółdzielczości produkcyjnej
- L. Jerman — Walka bolszewików o zdobycie demokratycznej inteligencji w 1905 roku
- C. Stiepanian — Sprzeczności w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego i drogi ich przezwyciężenia (Artykuł dyskusyjny)
- Klara Zetkin — Rozmowy z Leninem o etyce osobistej
- Lubow Kabo — Na tematy wychowawcze

- Dolores Ibarruri — Zbliżenia
- Victor Leduc — Co oznacza „nowa lewica”
- Ali Yata — W sprawie Marksa
- C. Bouhall — O sytuacji w Algierze
- Mary Norris — Charakter „poprawy” obecnej koniunktury gospodarczej w Stanach Zjednoczonych
- Automatyzacja — amerykański dylemat

- B. Jonas — Prefabrykaty żelbetowe
- Spożycie w przyszłość

- J. Zdanow — Na czym polega ateistyczne znaczenie nauki Pawłowa

RECENZJE

- M. Moszeński — Praca i kapitał w USA (Labour Fact Book 12)
- F. Marek — W kwestii narodowej
- F. Holitscher — Fizyk Bernal i embriolog Needham o nauce na Zachodzie i na Wschodzie. I. D. Bernal, „Nauka w dziejach” („Science in History”)
- W. Holitscher — I. Needham, „Nauka i cywilizacja w Chinach” („Science and civilisation in China”)
- F. Chatelet — Pan Merleau-Ponty i ostatnia moda antykomunizmu. „Przygody dyalektyki” („Les Aventures de la Dialectique”)

NA ŁAMACH CZASOPISMA „PARTYNIA JAZN”

O prawach i obowiązkach członka komitetu partyjnego

LICZBY I FAKTY

Przemysł ciężki — źródło potęgi i bogactwa Związku Radzieckiego

Wang Kun-wei — Wielki plan

Decyduje tempo

G. Helling — Fotosynteza i wyżywienie

Dobra rada („Fanfan-Tulipan”, „L'Humanité-Dimanche”)

BIBLIOGRAFIA

„KSIĄŻKA I WIEDZA”



Jean Al. Steriadi

NA WYSTAWIE GRAFIKI RUMUŃSKIEJ W WARSZAWIE



Alexandru Alexe



Aurel Soicescu

ARTUR MARYA SWINARSKI

Jubileuszowa wizyta

Gram od trzydziestu pięciu lat, ale źle gram,
Więc nikt się do jubilatą nie kwapił na fetę,
Madzia i Waldorff przysłali wspólny telegram.
...Wreszcie ktoś przyszedł. Goethe. I Heine za Goethem.

Siedli, gwarzyli i wnieśli kilka poprawek,
Aczkolwiek drobnych, do moich przekładów ich wierszy.
A gdy skończyli i pili Martella i kawę,
I nastrój stawał się coraz cieplejszy i szerszy,

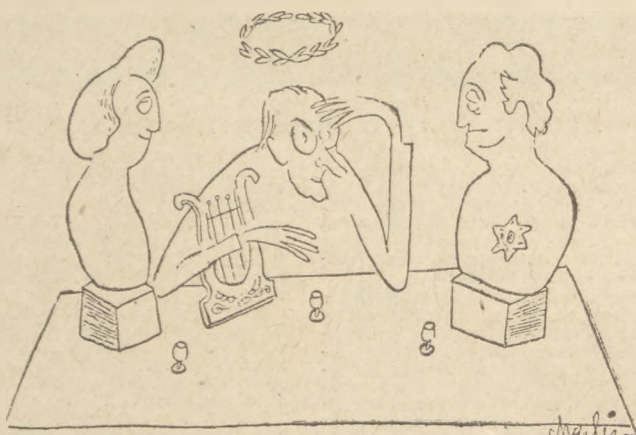
Zabrałem głos: „Uprzejmie nam mili goście!
(Mieczysław Jastrun powiedziałby pewnie: „Koledzy!”)
Skoroście przybyli racyli, poradźcie mi, boście
Nieboszczyki, więc pełni doświadczeń i wiedzy.

Od lat trzydziestu pięciu grywam swe pieśń,
Lecz nie wiem: słuchu brak czy akustyki brak tu?
Bo stale zaczynam o parę taktów za wcześniej,
Więc dyrygenci orzekli, że nie mam taktu.

Wszyscy wciąż tylko, grave, wciąż maestoso
Nuta po nucie solennie i sennie kapie.
A ja w allegro furioso pędzę, o zgrozo!
I zawsze jestem przed nimi na danym etapie.

Co prawda publiczność słucha i bije mi brawo —
Lecz sukces u mas? Podobno to żaden atut.
Radźcie, jak grać, jak muzykę nazbyt żwawą
Synchronizować z tempem szanownych batut?“

Na to powiedział Heine: „Nie jestem cynik,
Lecz póki pan będzie bębnił i dmuchał w puzon,
Nie trudno kocię muzyki przewidzieć wynik:
Uszy im puchną. I dmucha pan sobie a muzom.



Rys. Charlie

Pobudek nie trzeba. Czują i płaską muzyczką
Należy opasle zady eunuchów poglaskać.
Rzuć pan perkusję i pułon, prym oddaj smyczkom
I graj jak z nut — a do kabzy wpadnie, co łaska.

Smyczek wysmaruj, niech będzie grzeczny i gładki.
Gdy mecenasa szukasz czy protektora,
Ułóż, radzę, na cześć jego psa serenadki,
Bo lubi owacje piesków zjadliwych stora...”

Tu Goethe przerwał Heinemu: „O psach mecenasa
Nigdy hymnów nie piałem, mój panie. Bzdury!
Wystarczy napisać „Egmonta”, „Fausta” i „Tassa”,
I być, jak ja, swoim własnym ministrem kultury“.

Rys. Karol Baraniecki
Literat z pazurem

Fraszki

STANISŁAW JERZY LEC

TRAGEDIA

Co to jest tragedia — zdefiniuj w słowach paru.
Tragedią jest — w teatrze — brak repertuaru.

MIARA WARTOŚCI

Jako satyryk zawsze stawiam to najwyżej
co bez naklejki „Tabu!” — oprze się satyrze.

* * *

Niejeden szumny wczoraj panegiryk
podpisze jutro jedynie satyryk.

Z MIEJSC STOJĄCYCH

USPRAWIEDLIWIENIE KARYGODNEGO UPORU

Dzisiejszy felieton nie zawiera elementów wesołości i, szczerze mówiąc, nie polecam go specjalnie czytelnikom. Po prostu chciałbym się oświadczyć, przedłożyć usprawiedliwienie podobne tym, jakie oddaje się nauczycielom w szkole.

Jestem bowiem dość uparty, szczególnie, gdy idzie o moje teksty. Godzinami potrafię męczyć redaktorów, wydawców czy doradców. Z całą życzliwością namawiają mnie, żebym ten lub ów wątek przerobił, inny usunął, tamten odwrócił nogami do góry. Używają słusznej i głębokiej argumentacji, działają na moje poczucie obywatelskie, wykazują swoją bezinteresowność w tych manipulacjach. A ja ciągle powtarzam: nie, nie, i jest mi dość głupio, nieprzyjemnie, gdyż Bóg wie, co o mnie mogą w końcu pomyśleć.

Nie ośmieliłem się nigdy nazwać pisarzem. Uważam, że na miano literata ciężko jest zasłużyć. Nie z próżności więc wynika mój upór. Proszę jednak wyobrazić sobie takie okoliczności: rozmawiacie na przykład z wydawcą o waszym tekście w zacisznym, miłym pokoiku. Podano nawet kawę i ciasteczka, oko wydawcy błyszczy sympatyczną życzliwością. Powiada on wam, że trzeba to a to zmienić. Przekonuje was tak pięknie i serdecznie, powołuje się na naród, klasę robotniczą, dumną i pełną chwały przeszłość ludu pracującego, ukazuje wam antynomie wielkich procesów historycznych, trud budowania nowej epoki. Przekonani tą piękną argumentacją, godzicie się przeinaczyć główny wątek swego tekstu.

Zwykle po dwóch latach okazuje się, że wydawca niezupełnie miał rację. O tych jego kategoriach przemówieniach mało już kto pamięta, nawet on sam zapomniał. Jeśli ktoś sobie przypomni, to najwyżej mu rzeknie uszczypliwe słówko, na co otrzyma skromną odpowiedź: „Wybaczenie, towarzyszu, zdaje się, że popełniłem błąd”. Ludzie szybko zapominają mówione słowo; wydawcę przeniesiono na inne stanowisko, do innego miasta, gdzie nikt o niczym nie wie. Żyje sobie tam spokojnie, jego intelekt wypracował już nową tezę, do której jest przywiązany równie mocno jak do tamtej sprzed dwóch lat.

A tymczasem wasza książka została wydana, rozeszła się śród ludzi. Czytają oni to dziełko i nic nie wiedzą o tych rozmowach przed poczęciem, o tej kawie i o łzie w oku życzliwego wydawcy. Zgłaszają do ciebie gwałtowne pretensje jako do autora, lecz cóż ty im powiesz? Że pan lub pani Kurzpiew-

ski (a) nakłonili cię do zmian? A co to kogo obchodzi! Nie znają oni tego pana czy tej pani, nigdy o nich nie słyszeli.

Doprowadzony do rozpaczki własnym sprzeniewierzeniem się, uciekasz gdzieś na prowincję, angażujesz się do pracy w Powszechnej Spółdzielni Spożywców jako subiekt. Odetchnąłeś już z ulgą, nikt cię tu nie zna, nikt ci nie wspomni kłamstwa twojej książki. A tu nagle któregoś dnia jakaś babcia kupująca ćwierć kilo cukru przechyla się przez ladę i spyta z niebezpiecznym ognikiem w oczach: „Czy to pan napisał tę bzdurę? Pan się przecież nazywa...”

I dokądkolwiek byś uciekał, wszędzie znajdzie się jakiś człowiek, który wyjmie twą książeczkę, otrzepie z kurzu i zapyta: „A to co? Dlaczegoś tak napisał?” Gdy uda ci się ukraść dokonąć żywota, twoje dziecko, które pierwszy raz przyjdzie do szkoły, posłysz takie słowa: „Popatrz, to syn tego i tego, co tę idiotyczną książkę kiedyś napisał”. Bo nawet najmądrzejsze słowa umierają, a najgłupsza książka pozostaje.

Czy to nie straszne?

Tadeusz Konwicki

P. S. Aby nikt nie czuł się oszkalowany, wyjaśniam że felieton ten jest plodem mojej chorobliwej wyobraźni.



Rus. Lech Zahorski